

Trupia
Górka

Wprowadzenie
stanu wojennego

Kluczewo
1992 rok

poszukiwania



Nr 10/2016 (27) grudzień 2016
www.poszukiwania.pl



**Samolot JŁ-2
pod Świątcechowem**

Redaktor naczelny:
Rafał Kruk
kruku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:
Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:
Yedyny
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce
i zdjęcia w artykułach,
o ile nie zaznaczono inaczej:**
archiwum Portalu
Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:
redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:
redakcja@poszukiwania.pl

**Reprodukcja i przedruk
wyłącznie za zgodą autora.
Gazeta działa na zasadach
dziennikarstwa obywatel-
skiego otwierając swoje łamy
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania dostarczonych
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za
treść reklam i artykułów
sponsorowanych.**

Rok 2016 można uznać za zamknięty. Wiele ciekawych wydarzeń miało miejsce przez ostatnie 12 miesięcy. Z pewnością numerem jeden w eksploracji było poszukiwanie Złotego Pociągu. Grupa Poszukiwania.pl podjęła dawne tropy Powstania Styczniowego - skarbu Chmieleńskiego i depozytu Langiewicza. O wynikach z pewnością będziemy informowali na łamach magazynu Poszukiwania.

*Czekam na Wasze opinie i sugestie.
Piszcie do mnie kruku@poszukiwania.pl*

Rafał Kruk

SPIS TREŚCI

| | |
|-----|---|
| 4 | Samolot JŁ-2 pod Święciechowem |
| 6 | Trupia Górka |
| 13 | Wielkie nadzieje, bezcenny Skarb i prawdziwy smak historii... |
| 17 | Ziemia |
| 22 | Ordery, odznaki i odznaczenia wojskowe cz. 10 |
| 24 | Szczątki szybującego gada z triasu |
| 26 | Odkrycie dymarek w Kaniach |
| 27 | Badania wraku niemieckiej barki desantowej |
| 29 | Odkrycia w parku w sąsiedztwie zamku w Gołuchowie |
| 31 | Pradziejowe cmentarzysko przy budowanej S3 |
| 33 | Monety. Królestwo Polskie 1815-1855 |
| 40 | Oblot prototypu bombowca Łoś |
| 42 | Czarny Czwartek na wybrzeżu |
| 51 | Łuski Austro-Węgry. 8x50 R Mannlicher |
| 54 | Polacy po raz pierwszy łamią szyfr Enigmy |
| 55 | Ryszard Kaczorowski przekazuje insygnia władzy |
| 61 | Kluczewo 1992 rok |
| 69 | Pierwsza emisja marki polskiej |
| 71 | Zdobycie Kijowa przez Mongołów |
| 73 | Wprowadzenie stanu wojennego |
| 77 | Wydanie przywileju wileńskiego |
| 80 | Jan Długosz |
| 89 | Chwila zadumy |
| 92 | 7 cudów Portugalii |
| 96 | Portugalia – 8 muzeów, które musisz odwiedzić |
| 101 | Muzeum Toyoty w USA |

Samolot JŁ-2 pod Święciechowem



przedmiotami. Obawa przed konsekwencjami powoduje, że nie są one zgłaszane do odpowiednich służb. Pozostawione, lekko przykryte ziemią, potęgują tylko zagrożenie. Ustawa jednak nie zabrania spacerów i obserwacji. Historyczną atrakcyjność tego terenu potęguje, nie tylko fakt przełamania tu niemieckiej obrony, dużego nagromadzenia w tamtym czasie wojsk i sprzętu, a także przebywanie tu znanych „książkowych” wojskowych. (Np. na wieży kościoła w Lubieniowie przebywał dowódca 1 APanc Gw gen. Katukow, a samym uderzeniem wojsk radzieckich kierował osobiście marsz. Żukow). Wycieczka po tym terenie, to także mała lekcja fortyfikacji polowej.

Rys. Janusz Magnuski

Ciekawość naszą wzbudziło, pochodzące z tego okresu, stanowisko pod haubicę. Wyraźne wykopy i wały uwidoczniają miejsce na działo oraz na magazyn amunicji i ukrycie dla obsługi. Doskonały materiał do naszego cyklu o fortyfikacjach Drawna, Drawna dlatego, że znajduje się ono na terenie gminy, a konkretnie kilkadziesiąt metrów od szosy odcinka Święciechów – Żółwino. Miejsce to wskazał nam p. Adam Hołownia- pasjonat tych terenów. Nic więc w tym dziwnego, że wspólnie przeprowadziliśmy tam mały rekonesans. Stanowisko jest doskonale zachowane i odpowiednio obwałowane. Schodząc z bocznego lewego wału, nasza uwaga skupiła się na kilkunastometrowej ziemnej bruździe. Bliższe oględziny miejsca i pierwsze znaleziska; blachy, stopione kawałki aluminium, porozrywane łuski, ślady spalenizny. Dochodzimy do wniosku, że obok stanowiska artyleryjskiego spaść musiał samolot. Ślady spalenizny i porozrywane łuski świadczą o dramaturgii zdarzenia. Zataczając coraz większe kręgi, znajdujemy inne jego fragmenty. Na ostatnią blachę natrafiliśmy ponad 50 m. od miejsca wypadku. Zebraliśmy wszystko w jedno miejsce i nic nie wydumaliśmy, oprócz tego, że na pewno tu spadł samolot. Pomoc „przyszła” z Bydgoszczy. Naszym odkryciem zainteresował się p. Arkadiusz Kaliński z Pomorskiego Muzeum Wojskowego.

Po przyjeździe do Drawna spróbował określić przynależność znalezionych resztek. Niestety, dostarczały one zbyt mało informacji. Musieliśmy ponownie wrócić do „źródła”. Wzmocnieni dodatkowo przez doświadczonych „odkrywców” Piotra i Violetę Ochocińskich z Torunia, zaczęliśmy szukać dalszych śladów. Intuicja kobiety wygrała. Okazało się, że najwięcej dodatkowych elementów było w wykopie artyleryjskim. To tam zostały znalezione blachy pancerne, które wstępnie wskazały na radziecki samolot JŁ-2. Ale pewności jeszcze nie było. Wszystkie części zostały wyłożone; od domniemanego przodu czyli blach pancernych, poprzez blachy kabiny, porozrywane łuski ..., aż do elementów drewnianych ogona. Takie ułożenie coraz bardziej przekonywało o trafności pierwszej diagnozy. Za IŁem -2 przemawiały nie tylko blachy przedniego kadłuba, ale także łuski po amunicji; 23 mm, 12,7mm, 7,62mm. Czerwony pasek na jednej z blach świadczył, że samolot został wykonany również z materiałów pochodzących z pomocy amerykańskiej dla ZSRR, a nieliczne elementy drewniane utwierdziły nas tylko w przekonaniu, że samolotem tym był radziecki JŁ-2.



Fot. Szczątki samolotu. Widoczne opancerzenie kabiny.

W okresie II wojny światowej wyprodukowano tysiące tych samolotów, przez Rosjan zwanych „latającym czołgiem”, a przez Niemców „czarną śmiercią”. Armia Czerwona posiadała te JŁ-y już z chwilą wybuchu wojny z Niemcami w czerwcu 1941 r. Doświadczenia pierwszych miesięcy tej wojny spowodowały modyfikacje, głównie w postaci wprowadzenia dwumiejscowej, opancerzonej kabiny. Miejsce drugie przeznaczone było dla tylnego strzelca. Wprowadzono także silniejsze uzbrojenie: w skrzydłach dwa działka kal. 23 mm oraz dwa km. kal. 7,62mm., a także w części tylnej 1 km. kal. 12,7mm (stąd łuski).

Zabierał do 600 kg. bomb, 8 (po 25kg.) pocisków rakietowych. Wersję zmodyfikowaną rozpoczęto produkować seryjnie w sierpniu 1942 r. Samolot przeznaczony był do wykonywania ataków szturmowych na cele naziemne. Przy osiągnięciu 404km/h, pułapie 6000 m. oraz zasięgu 600 km. okazał się bardzo skuteczną maszyną. Silnik samolotu rzędowy AM38(AM38F), chłodzony cieczą, posiadał moc 1770 KM. Samolot ważył 4525 kg, był długi na 11,6 m., wysoki 3,4m., rozpiętość skrzydeł wynosiła 14,6 m. Piloci radzieccy chętnie latali ma JŁ-2, a to głównie za sprawą opancerzonej kabiny. Opanowali oni sztukę działania bojowego na wysokość ok. 6 m nad ziemią. „Nasz” JŁ nie miał szczęścia, sądząc po braku innych śladów w chwili zderzenia nie było większego wybuchu, gdyż najprawdopodobniej nie miał na sobie bomb i amunicji rakietowej. Czy powracał z wykonywanego zadania- tego niestety możemy się tylko domyślać. Nie znany pozostaje nadal przydział bojowy samolotu, nic nie wiemy o członkach załogi. Niestety radzieckie materiały faktograficzne dotyczące działań w tym obszarze, są mało szczegółowe. Dlatego należy uznać, że pełnej historii tego rozbitego (straconego) samolotu nigdy się nie dowiemy.

JŁ-2 spod Świąciechowa jest czwartym samolotem, którego szczątki zostały znalezione w okolicach Drawna. Z tej czwórki jest on drugim po B-17 rozpoznany pod względem typu. Część znalezionych resztek JŁ-a została przewieziona do bydgoskiego muzeum, pozostałe części samolotu zostały wyeksponowane w „Spichlerzu” w Drawnie.

Andrzej Szutowicz i Marian Twardowski

Literatura: Janusz Magnuski . Prezentuj broń. Oręż żołnierza polskiego 1939-1945 s. 280-281 Wyd. Horyzonty.

Trupia Górka

Pułkownik Semenow niechętnie oderwał piersiówkę od ust. Podrabiany gruziński koniak nie dorastał do pięt francuskim, do których był przyzwyczajony, ale wojna trwała już drugi rok i o oryginalny było coraz trudniej. A teraz się musiał napić, niezależnie od smaku alkoholu. Nie podobało mu się to, co działo się na prawym skrzydle jego krasnojarskiego pułku strzelców. Nie miał łączności z sąsiadującym, trzydziestym ósmym permskim, broniącym podejścia do miasteczka i linii kolejowej. Rozciągnął swój pułk wzdłuż niewielkiej rzeczki, za plecami miał las i pasmo wzgórz, kazał się żołnierzom okopać i czekał.



foto: storcz; Freeimages.com

Tymczasem i na prawym i na lewym skrzydle wrzała zaciekle walka. Lewym skrzydłem się nie martwił, tam bił się doborowy, sześćdziesiąty czwarty gwardyjski, prędzej padną na stos, jeden na drugiego, a nie opuszczą linii. A już na pewno Koralew, dowódca gwardyjskiego, kolega z roku z akademii wojskowej, nie zapomni o nim i w razie zmiany sytuacji przyśle łącznika. Za to na prawym było coraz gorzej, o ile mógł się zorientować z odgłosów bitwy podpułkownik hrabia Zakajew, dowódca pułku permskiego, miał poważne kłopoty. Najpierw artyleria



austriacka przeniosła ogień z okopów na zaplecze, zapewne tyraliery wroga podeszły na tyle blisko do okopów trzydziestego ósmego, że bali się razić własnych żołnierzy. A teraz armaty zamilkły całkowicie, a co gorsza nie było też słychać serii z karabinów maszynowych. Możliwości były dwie: albo Austriacy przerwali atak i się wycofali albo przełamali front i teraz zajmowali miasteczko i wychodzili na tyły całej dywizji. A hrabia Zakajew uciekał razem ze

swoim pułkiem, zapomniawszy o towarzyszach broni.

Już prawie godzinę temu Semenow wysłał patrol do nawiązania łączności i sprawdzenia sytuacji, teraz z daleka widział wracającego biegiem sierżanta Gajowa, który mozolnie wspinał się po zboczach doliny, wreszcie zdyszany dopadł miejsca postoju sztabu pułku.

- Panie pułkowniku, melduję posłusznie, zadanie wykonane!
- I co, mówcie, Gajow!
- Doszliśmy aż do torów kolejowych, okopy puste, dużo zabitych i naszych i Austriaków.
- Austriaków widzieliście?
- Tak, panie pułkowniku! Są już w mieście, ich saperzy odbudowują przeprawę przez rzekę, a za rzeką stoi kawaleria i armaty.

I nagle odezwały się kaemy z rzeki, to na jego odcinek ruszyło natarcie austriackie. Na razie chyba rozpoznawcze albo Austriacy próbują związać bojem jego jednostkę, żeby nie mógł pomóc pułkowi permskiemu. Odwrót, trzeba wykonać odwrót! zostawić jeden batalion do osłony rzeki i od strony miasteczka, a z resztą pułku ruszać na wzgórza, umocnić się i czekać na posiłki. Za wszelką cenę nie stracić łączności z sześćdziesiątym czwartym. Jak dotrą posiłki trzeba będzie kontratakować, żeby odzyskać miasteczko. Semenow rozesłał gońców do swoich batalionów, do pułkownika Koralewa i do sztabu dywizji, a teraz obserwował krzątanie ordynansów i pisarzy pułkowych ładujących pospiesznie na wozy dokumenty i skrzynie z wyposażeniem sztabu. Przez bukowy las ciągnęły plutony i kompanie jego krasnojarskich strzelców, wycofywali się szybko, ale zachowywali wzorowy porządek, chociaż Austriacy zorientowali się chyba w próbie oderwania się przeciwnika, bo nad lasem zaczęły rozrywać się ich szrapnele, zasypując go gradem ołowianych kulek. Wielkiej szkody to one nie narobią, choć kilku żołnierzy padło rannych, a pozostali musieli przeskakiwać od jednego do drugiego pnia grubych buków, dających przed nimi schronienie. Z wozami

sztabowymi przez buczynę nie da rady, muszą jechać drogą wzdłuż skraju lasu. Semenow wskoczył na kozioł wozu taborowego i kolumna ruszyła...

*

- Panie burmistrzu, przychodzę w sprawie Trupiej Górki. Tam jest stanowisko archeologiczne, cmentarzysko z wczesnego średniowiecza, a ostatnio zauważyłem, że przychodzą tam z wykrywaczami metalu i rozkopują łąkę.
- No i?
- Dobrze by było przeprowadzić tam badania ratownicze, przynajmniej na części obszaru, chociaż jakieś trzy-cztery ary należałoby przekopać, żeby mieć pewność co do datowania i zabezpieczyć najcenniejsze znaleziska.
- A ile by to kosztowało?
- To tak trudno ocenić, bo nie wiadomo ile będzie tych grobów, jak głęboko trzeba będzie kopać, ale myślę że około dwudziestu tysięcy.
- Panie, co pan mi tu..., ja mam na głowie w gminie przedszkola, cztery szkoły, gimnazjum, mi głodne dzieci płaczą na stołówkach, matki do opieki społecznej przyprowadzają po pięcioro-sześcioro, żeby im na buty i zeszyty dać, a pan mi tu z jakimiś trupami. Mnie by na taczkach wywieźli, ksiądz by mnie z ambony wyklął, jakbym dwadzieścia tysięcy w błoto wyrzucił. Nie ma mowy!
- To może postarać się o jakieś fundusze z zewnątrz, jakby gmina poparła muzeum, to mógłbym napisać wniosek do urzędu marszałkowskiego, może byśmy dostali.
- No to, to co innego, ale dziś nic nie załatwimy, bo mam naradę, niech pan przemyśli sprawę i wpadnie do mnie za tydzień, pogadamy. No to, do widzenia!
- Do widzenia, panie burmistrzu.

Burmistrz wstał zza biurka, otworzył drzwi do sąsiedniego gabinetu:

- Jacku, wpadnij na chwilę do mnie! Słuchaj, był tu u mnie ten wariat z

muzeum, no wiesz który, ten geolog czy jakoś tak... Jak to jest z zabytkami u nas?

- To znaczy z czym, bo kościół i kapliczka nad stawem to...
- Nie, nie o to chodzi, mówił mi o Trupiej Górce, że tam podobno ktoś coś wykopuje z wykrywaczami i tak dalej.
- E tam, chłopaki sobie pokupowali sprzęt i szukają, syn leśniczego i ten młodszy od Siekierskiego – więcej piwa wypiją niż złota znajdą. Tylko że to niby zakazane.
- Coś z tym trzeba zrobić, wiesz, on chciał dwadzieścia tysięcy na wykopaliska.
- O, dużo! W budżecie nie planowaliśmy...
- Wiem, wiem... ty, a jakby tak od Ciuraszki wziąć, robi remont basenu za półtora miliona, co to dla niego te dwadzieścia tysięcy, nawet nie zauważy, zrobi się aneks do umowy, trochę się mu obniży koszty, a pieniądze damy na muzeum, na wykopaliska, niech się od nas odzłupi.
- To się tak nie da, Ciuraszka przetarg wygrał, a taki aneks to podejrzany będzie, izba rozrachunkowa może się do nas przyczepić, a jak zaczną przy tym węszyć, to nie wiadomo co znajdą.
- E, przecież robiliśmy nieraz aneksy...
- Ale zwiększające koszty budowy, a nie obniżające! Takie obniżenie to się zaraz podejrzane wyda. Poza tym Ciuraszka już dał nam odstępną od całej kwoty przetargu, jak mu obetniemy to trzeba by część pieniędzy mu zwrócić.
- No tak masz rację – od dwudziestu tysięcy te dziesięć procent to byłoby dwa tysiące, wyszłoby, że po tysiąc mamy oddać... No nic, nie martw się, jakoś to inaczej załatwię.

Burmistrz sięgnął po telefon.

- Z komendantem poproszę... Cześć, witam, co nowego? Słuchaj taką sprawę mam, był u mnie ten z muzeum, znasz go? ... No, właśnie ten... podobno ktoś mu tam na Trupiej Górce, koło lasu, jak droga na Brzozówkę, jakieś stare groby rozkopuje.... A bo ja wiem, jak stare? Pewnie z tysiąc lat mają, no wiem, że to nie sprawa dla policji, tylko rozumiesz, jako gmina mam chronić zabytki, a

pieniędzy na to nie mam, a ten może jakieś pismo do wojewody napisać i mnie za dupę wezmą. Jakby tak twoje chłopaki się tam pokręcili czasami, z radiowozem, na tej Trupiej Górze, żeby tych z wykrywaczami chociaż trochę przepłoszyć, co?... Aha, a to pismo, co złożyłeś odnośnie działki, to zaraz jutro załatwię, oczywiście, tak jak napisałeś, wieczysta dzierżawa po preferencyjnej stawce, załatwione masz! No to na razie!

Komendant nie był zachwycony. Na szczęście przypomniał sobie, że Stolnicki w tym tygodniu dwa razy spóźnił się do pracy... Kto by tu jeszcze? Aha, Pasternak zawałił wywiad środowiskowy w sprawie tych małałatów, którzy dwa kioski na osiedlu okradli i prokuratura odesłała papiery do uzupełnienia.

- Zawołajcie mi tu Stolnickiego i Pasternaka, tylko szybko!

No zbyt inteligentni to oni nie są, ale chyba w sam raz do takiej roboty się nadają.

- Pasternak, w tym tygodniu macie wolne w sobotę, tak? Planowaliście coś?
- Z żoną chciałem do szwagra na imieniny jechać, do Wrocławia.
- No to żona sama pojedzie, wy macie dodatkową służbę. Razem ze Stolnickim od rana wybierzecie się na Trupią Górkę, ktoś tam chodzi z wykrywaczem metali i rozkopuje jakieś groby.
- Ale tam nie ma żadnych grobów, łąka i tyle...
- Ja wam mówię, że są, nie dyskutować! Macie tam cały dzień pilnować i najlepiej by dla was było, żebyście się tym razem nie zbłąznili, tylko czymś wykazali, bo inaczej z premią możecie się pożegnać. Odmaszerować!

*

Podejdę dzisiaj górą, przez las. Okopy nad rzeką tak rozryte już od dawna, że nawet głupiej łuski się nie znajdzie. W lesie też właściwie tylko kulki od szrapneli wychodzą. W zeszłym

tygodniu nie było tak źle, bo trafiłem na miejscówkę, gdzie chyba Rosjanie porzucali część sprzętu, jak się wycofywali. Szli chyba od rzeki, ścigani przez Austriaków i jak zaczęły się ostrzejsze podejścia na stok wzgórza, to zostawiali to, co było za ciężkie. Wyszło spod wykrywacza kilka bagnetów, saperki, rozsypane naboje do mosina, sprzączki od plecaków, okucia skrzynek, bączki od czapek. Dzisiaj na razie pusto, wykrywacz popiskuje czasami, ale to wszystko nowe śmieci, tylko jedna łódka z nabojami się trafiła. Las się kończy, może spróbować wzdłuż drogi? Jak nie będzie nic z militarki, to może jakieś monetki się trafią, przy drogach zawsze tego pełno, chociaż oczywiście nie brakuje też gwoździ, ogniów łańcucha, podków, trzeba będzie na dyskryminacji szukać.

Też nic, poza śmieciami, nie chce mi się wracać do lasu, późno się robi, a dziś sobota, autobusy rzadziej jeżdżą, jak pójdę w kierunku Brzozówki, to mogę na przystanku z godzinę odstać, może raczej przejdę się w stronę miasta. Akurat po drodze jeszcze spróbuję na tej łączce, zejść w dół z wykrywaczem, sprawdzę, czy są jakieś sygnały.

O, proszę! Jest i to bardzo ładny! Głęboko siedzi cholerstwo, ale sygnał po prostu śliczny, musi być coś większego i raczej z kolorowych metali, na żelastwo detektor by burczał w charakterystyczny sposób. Jest! Opląciło się kopać, dziura pół metra głęboka, ale ta piersióweczka – rewelacja. Mosiężna, ze srebrną nakrętką i tabliczką z rosyjskim napisem. Tabliczka z dedykacją! „Pałkownikowi Juriju Afanasiewiczowi Semenowu...”. Też chyba srebrna! No super! Wykrywacz do dołka, może jeszcze coś tam siedzi. Siedzi! Sygnał tak samo mocny jak wcześniej. No to bierzemy się do roboty! Saperka tylko śmiga, aż się chce robić, serce bije coraz szybciej ...

- Dzień dobry! Starszy posterunkowy Pasternak... co pan tu robi?

*

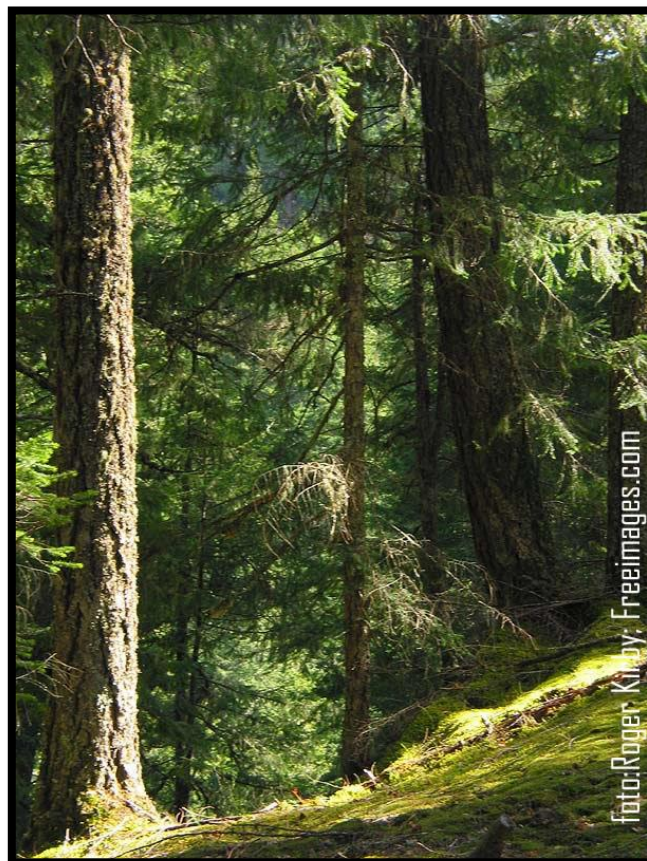
Konie, poganiane bezlitośnie przez woźniców, z mozołem ciągnęły po piaszczystej drodze

ciężkie taborowe wozy. Byle szybciej, byle przejechać przez odsłonięty stok wzgórza, dotrzeć do kulminacji, tam już swoi, tam się okopimy i będziemy się bronić. Austriacy ruszyli naprzód, zajęli miasteczko, ścigają pewnie pułk permski, ale w tę stronę się na razie nie posunęli. Pierwsza seria ścięła czołowy zaprzęg, kolejne poszarpały plandeki na wozach, strąciły z nich woźniców, poraniły konie, rozłupały deski wozów. Ci, co ocalili, próbowali dobiec do zbawczej ściany lasu, ale strzelec obsługujący austriacki karabin maszynowy umieszczony na kościelnej wieży w miasteczku był bezlitosny – krótkimi seriami ścinał ich kolejno, reagował na każdy ruch, byli doskonale widoczni na odsłoniętej łące. Pułkownik Semenow rzucił się na ziemię zaraz po pierwszych strzałach, teraz częściowo osłaniał go wóz, ale nie mógł się poruszyć nie narażając się na postrzał. Coś grzmotnęło o ziemię, to sierżant Gajow zrzucił z wozu ciężką, okutą skrzynię z pułkową kasą, pieczęcią i najważniejszymi dokumentami. Próbował ją dźwignąć, ale seria, która przeszła mu nad głową rzuciła go na ziemię. Usiłował się czołgać w stronę lasu, a raczej pełznął, ciągnąc za sobą skrzynię. Semenow pociągnął łyk z piersiówki, przeżegnał się zamasyście i skoczył by mu pomóc, zakurzyło się wokół nich od kul kaemu, przypadli do ziemi. Semenow podniósł głowę – tyraliera austriacka rozciągała się właśnie u podnóża wzniesienia, za chwilę ruszą naprzód, by ogarnąć rozstrzelany tabor.

- Gajow, nie damy rady z tą skrzynią, trzeba zostawić...
- Panie pułkowniku, melduję posłusznie, tam pieczęć i pieniądze na żołd dla całego pułku!
- Do lasu nie damy rady, dawaj ją tu, do leja!

Austriacki granat wyrwał w piaszczystej ziemi sporą dziurę, rzucili skrzynię na dno, Gajow bagnetem wyciął kilka kawałków darni, pułkownik obsypywał ją piaskiem nabierając go gołymi dłońmi, na szczęście wóz osłaniał ich przed wzrokiem strzelca z kościelnej wieży. Tyraliera była coraz bliżej. Wygramolili się z leja, pułkownik rzucił okiem, wyglądało to całkiem nieźle, nic nie widać, nie powinni znaleźć. A teraz do lasu, jak najszybciej. Gajow

poderwał się pierwszy, dostał dwie kule w plecy, nisko, na wysokości nerek, nie przeżyje, nie ma szans. Pułkownik Semenow powoli odwrócił się, Austriacy byli już tylko o kilkanaście metrów, mierzyli do niego z manlicherów, teraz karabin maszynowy już nie będzie strzelał, tamci są za blisko. Podniósł się, rozłożył ręce, żeby im pokazać, że nie ma broni. Podchodzili coraz bliżej, poczuł że musi się napić, teraz, natychmiast. Sięgnął po piersiówkę, chyba zbyt gwałtownie, bo jeden z nich nacisnął spust. Piersiówka wysunęła się z martwiejącej dłoni.



*

Dobrowolnie poddałem się karze. Za te naboje od mosina prokurator zagroził mi niezłym wyrokiem: pół roku w zawieszeniu na dwa lata. Posterunkowy Pasternak tak się przejął swoją rolą, że w raporcie zrobił ze mnie terrorystę. Uratowała mnie piersiówka, spodobała się prokuratorowi, obiecałem mu, że nie będę się dopytywał, co się z nią stało. Dał mi dwa tysiące grzywny z możliwością zamiany na areszt lub

prace społecznie użyteczne. Wybrałem to drugie i burmistrz skierował mnie na dwa tygodnie, razem z jakimiś dwoma obszczymurkami, do pracy na wykopaliskach. Kopaliśmy na tej Trupiej Górze. Archeolog tutejszy całkiem sympatyczny, w wykopach znaleźliśmy kilkanaście szkieletów, ale fanty przy nich niezbyt ciekawe, jakieś paciorki, nożyk żelazny, krzyżyk z brązu. Dał mi się namówić na odkopanie tego namierzonego przeze mnie miejsca, tylko z góry zapowiedział, że cokolwiek tam znajdziemy, to i tak pójdzie do muzeum, bo znalezione w trakcie regularnych wykopalisk, za zgodą konserwatora wojewódzkiego.

*

- Cześć, nie przeszkadzam? Jest taka pilna sprawa...
- No co tam?
- Podpisz warunki zabudowy terenu dla Ciuraszki, dla mnie i jeszcze jednego znajomego. Przyniosłem papiery.
- Co ty, za budowę się bierzesz?
- A wiesz, trochę kasy wpadło, Ciuraszka swoje zarobił przy tym basenie i chciałbym jakąś większą chatę postawić,

gdzieś za miastem, przy lesie, żeby trochę spokoju mieć.

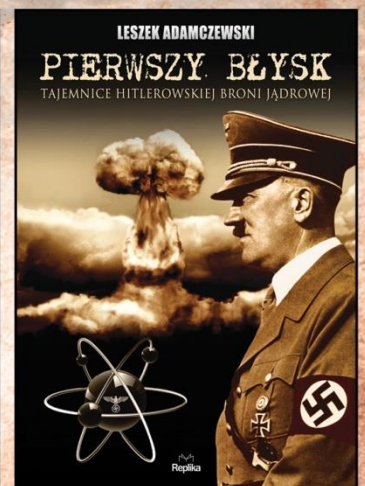
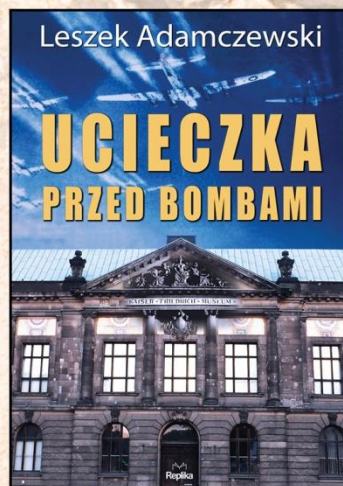
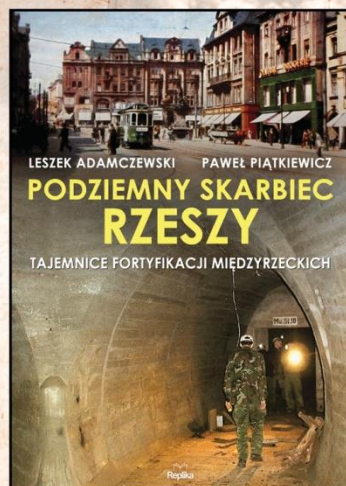
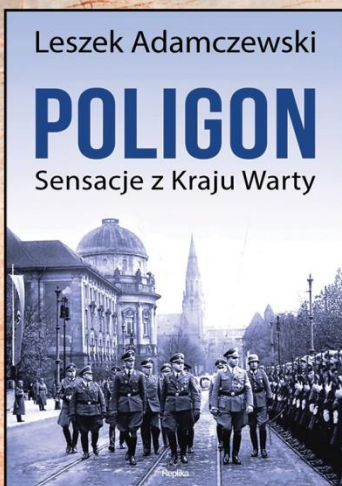
- No to trzeba było i mnie powiedzieć, działkę jakąś macie na oku?
- Mamy, na Trupiej Górze, bardzo tanio kupiliśmy.
- A, tam gdzie to cmentarzysko było...
- No właśnie.
- No to naprawdę szkoda, że nie powiedzieliście nic. A ten wasz trzeci znajomy to kto?
- Też go znasz, kierownik muzeum...



SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



WKRÓTCE



Wielkie nadzieje, bezcenny Skarb i prawdziwy smak historii...

Rzecz ta miała miejsce w niezwykłych i pięknych plenerach Beskidu Wyspowego, Krainy położonej na południe od Krakowa i słynącej z mgieł, samotnych szczytów gór i tymbarskich soczków. Na terenach tych ciągnących się między dawną stolicą polski a Nowym Sączem (tak w przybliżeniu), występuje bardzo ciekawe zjawisko inwersji temperatur co sprawia, że nad ranem możemy zaobserwować mgły pokrywające doliny i samotnie wystające szczyty pobliskich gór, które wyglądają jak pasmo wysp na oceanie (stąd też nazwa- Beskid Wyspowy). Teren iście lesisty i o bardzo pięknych walorach turystyczno-widokowych. Moją uwagę jednak przyciągało co innego.



Będąc młodą osobą o zamiłowaniu do czasów przeszłych, dość ograniczonym budżecie i możliwościach transportowych, skupiłem się na

historii tego terenu. Udało mi się dowiedzieć, że właśnie przez te tereny w średniowieczu przebiegał drugorzędny szlak handlowy od

Krakowa na Węgry..to już bardzo mnie ucieszyło i podnieciło moje nadzieje oraz wiarę w to, że może tu być wiele ciekawych rzeczy i rzeczutek w ziemi.. Jako pasjonat historii i wypraw oraz rdzenny mieszkaniec tych ziem postanowiłem zorganizować sobie bliskie spotkanie z historią i wziąłem się do przygotowywania logistycznego wyprawy. Jako że biedny student musi liczyć każdy grosz by przetrwać największym wyzwaniem było zdobyć sprzęt..długo się nie zastanawiałem ...kolega z technicznej uczelni korzystając z okazji obdarował mnie swoją „pracą semestralną” w postaci prostej wykrywki metali. Sprzęt troszkę nieporęczny i bez cudownych osiągnięć ale sam fakt powstania i działania tego urządzenia oraz jego sentymentalna wartość-prezent, wprawiły mnie w prawdziwą euforię! Prowiant, odpowiednie okrycie, saperkę i szczerą chęć + niewypowiedziany zapach zorganizowałem już sam.



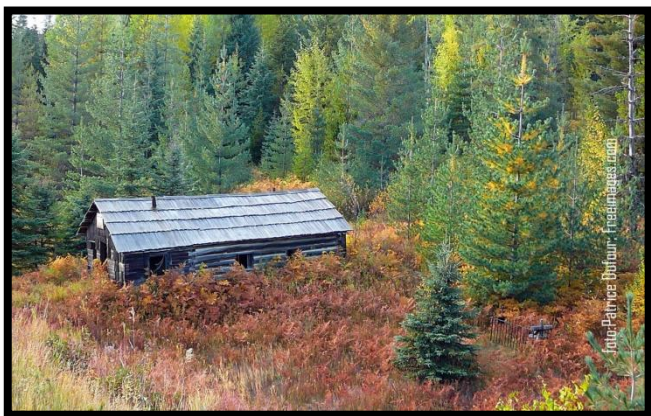
Przyszła pora na ustalenie obszaru poszukiwań. W tym celu udałem się do miejskiej biblioteki i przestudiowałem kilka książek o historii pobliskich miejscowości i miasteczek..dowiedziałem się o prężnie działającej partyzantce podczas II wojny światowej, starej linii kolejowej z czasów cesarza Franciszka Józefa oraz o legendach związanych ze starymi warowniami, których tu za Piastów nie brakowało a po których zostały tylko zalesione szczyty gór i wciąż żywe opowieści. Taka „iskra do prochu” sprawiła, że byłem już niemal pewien, iż znalezienie skarbu to tylko kwestia niedługiego czasu. Spotkałem

również piękną stażystkę pracującą w bibliotece aczkolwiek w tamtej chwili moja uwaga była przykuta rozgrzanym żelazem do zgłębiania przeszłości. Jak się później okazało osoba ta odegrała niebanalną rolę w całej tej historii. Mając już potrzebne informacje i plan działania nie pozostało mi nic innego jak tylko wyruszyć na wyprawę. Czekałem już tylko na odpowiednią pogodę. W końcu nadszedł upragniony dzień ...

Wyruszyłem wcześniej rano, jeszcze przed wschodem słońca by jak najwięcej czasu poświęcić poszukiwaniom. Już na samym początku przeprowadziłem skuteczny test wykrywki a moje pierwsze trofea to kilka puszek po piwie i parę gwoździ. Aż sam się dziwiłem gdzie to ludzie już piwa nie pili... sam środek lasu, na dość stromej górze..Polak potrafi. Interesowały mnie głównie szczyty gór oraz drogi, które mogłem znaleźć już na dość starych mapach..to dawało większe szanse i nadzieje na spotkanie jakiejś miłej niespodzianki. Tereny te niestety a może stety właśnie nie były obiektem nalotów żadnej floty powietrznej podczas wojny jak też miejscem żadnej większej bitwy.. jednak działalność partyzantów, którzy pobliskie lasy uczynili niezłym schronieniem oraz kilka udanych zamachów bombowych jakie przeprowadzili na niemieckie transporty, napawało mnie cichą nadzieją na odnalezienie czegoś ciekawego. Każdy chrypliwy odgłos mojego narzędzia pracy sprawiał, że rosło mi ciśnienie a wyobraźnia wskakiwała na wysokie obroty..tak było za każdym razem aż do momentu wykopania owych obiektów.

Po kilku godzinach wędrówki miałem już cały dostępny na południu barek lokalnych piw i garść gwoździków. Moje nadzieje na prawdziwy skarb zaczęły powoli przygasać podobnie jak słońce, które ulegało chmurom..no tak..przecież to góry, pogoda zmienna jak diabli. Jako że czasem sobie zapalę papierosa stwierdziłem, że pora na dymek. Przerwa mi była potrzebna oczywiście ale jako wytrawny logistyk zadbałem o ogień a niekoniecznie już o cigarety... „cudownie” pomyślałem. Na domiar złego słońce już całkiem znikło za to rozpuściła się masakryczna ulewa. Wszystko w jednej chwili. Ten ciąg ostatnich wydarzeń skumulowany w tak krótkim czasie wywołał u mnie chęć siarczystego przeklęcia.. tak też uczyniłem.

Aura stała się tak nieprzychylna, że dalsze prowadzenie poszukiwań okazało się niemożliwe. A zrozumiałem to dobitnie kiedy niesiony ambicją i wytrwałością dopuściłem do zetknięcia się wody z misterną konstrukcją wykrywki. No cóż.. wydała ona w owej chwili jęklivy pisk i opuściły ją jakiegokolwiek znaki życia.. pomyślałem sobie że właśnie kolega oblał pracę semestralną.. niestety to ja ją „oblałem” deszczówką. To sprawiło że wyczerpany po całym dniu chodzenia po górach i łąkach do tego z mizernymi efektami, postanowiłem skapitulować – przynajmniej na ten dzień. Wracając „na skróty” a dokładniej pisząc kompletnie sobie nieznaną drogą, przemoknięty i troszkę zrezygnowany zobaczyłem w oddali coś w rodzaju małej, starej walącej się stodoły..



Jako że był tam dach a lało jak z cebra, postanowiłem na chwilę tam zaglądnąć. Po bliższym obejrzeniu „posiadłości” okazało się, że jest to stary dom. Drzwi zupełnie otwarte, prawie na oścież a w środku widok który do dziś mam przed oczami. Wszystkie meble, sprzęty nawet szkło stało nie tknięte.. całość pokrywała gruba warstwa kurzu i ślady zwierzęcej obecności. Domek składał się z małej kuchni i dwóch małych pokoików. Była to typowa izdebka jakie dawniej budowano z drewna. Wszedłem tam jak do kościoła.. powoli, po cichu, rozglądając się dookoła. To było niesamowite! W szafach były ubrania wszelakiego rodzaju. Nawet pościelone łóżko! (choć przyznaje że w tej pościeli wolałbym nie spać). Na środku pokoju stał wielki kufer. Wyglądał jak skrzynia z opowieści o piratach. Otworzyłem go bez trudu. Był cały wypełniony

listami, zdjęciami i dokumentami. Znalazłem nawet PRL-owski paszport wydany przez komendę milicji obywatelskiej! Sam nie wiedziałem co o tym myśleć.. bo kto zostawia dom z całym wyposażeniem – rozumiem podczas wojny ale te rzeczy wskazywały na późniejsze czasy.. nie mniej jednak najlepsze było dopiero przede mną.



Otóż w kuchni stała mała komoda. Po wysunięciu z niej szufladki zobaczyłem mały woreczek wielkości pięści dorosłego człowieka. Wziąłem go i po rozwiązaniu ujrzałem cudowny widok!.. Worek był cały wypełniony monetami!! Były to 50 groszówki, 20 groszówki i 10 groszówki z 1923 roku w przepięknym stanie!! Do tego jeszcze kilka 1 groszówek z 1932. Jak to zobaczyłem to byłem naprawdę zdumiony. Wyglądało to precudownie.. prawdziwy skarb.. po kilkunastu minutach oglądania zauważyłem że obok tego woreczka w szufladzie było pełno skręcanych ręcznie papierosów!.. Jako że nigdy nie paliłem takich a chęć miałem na tytoń postanowiłem spróbować... i tutaj dopiero była jazda! Nie wiem jak mocne one były (na dodatek bez żadnego filtra) ale po pierwszym zaciągnięciu poczułem się jak żołnierz Kawalerii

Powietrznej... wszędzie widziałem helikoptery a największy to miałem w swoje głowie..każdy kto pierwszy raz się zaciągnął dokładnie wie o czym pisze. Wtedy to naprawdę poczułem „smak historii”. Wystarczyły mi dwa tzw. „buchy” by ochota na papierosa ustąpiła na (jak się później okazało) prawie dwa dni. Jeszcze kilkanaście minut zeszło mi na zwiedzanie domku. Odkryłem także małą drewnianą połączoną z domem, gdzie znajdowała się masa sprzętów gospodarskich. Były tam łopaty, łańcuchy, siekiery, podkowy no coś niesamowitego. Wszystko leżało na swoim miejscu pozostawione samo sobie.

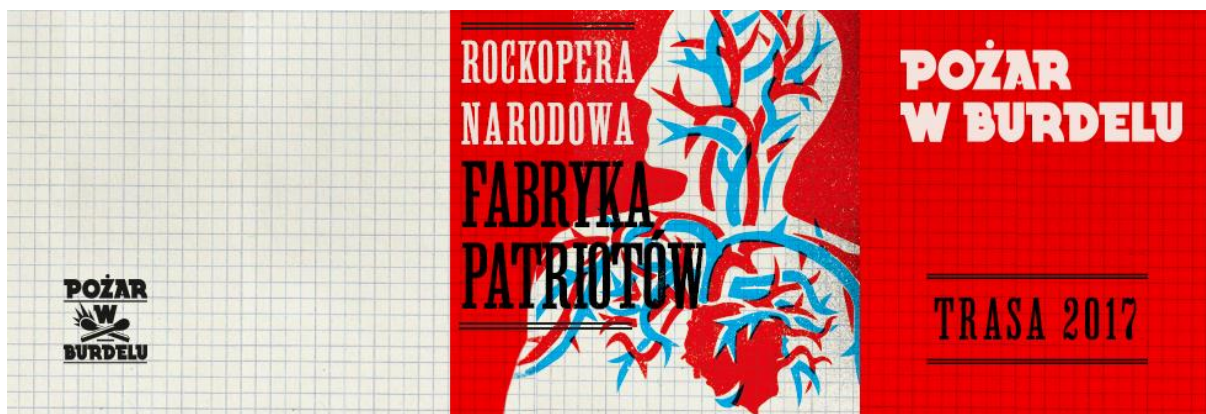


Niestety musiałem się ewakuować, gdyż zaczęło się powoli ściemniać. Zabrałem tylko na pamiątkę po jednej monecie z każdego rodzaju a resztę zostawiłem tak jak było. Papierosy zaś zostawiłem wszystkie z wiadomych względów. Wracając myślałem sobie o swojej porażce z

wykrywką i sukcesie związanym z chatką. Sam nawet nie wiem kiedy natknąłem się na drogę o nawierzchni bitumicznej. Idąc za nią nagle w kogoś uderzyłem (to dlatego że mój wzrok zajęty był oglądaniem w świetle komórki owych pieniążków). Rzuciłem tylko „przepraszam” a w odpowiedzi usłyszałem parsknięcie śmiechem i pytanie „znalazł pan swój skarb”? Początkowo nie poznałem tej osoby ale po kilku sekundach olśniło mnie..no tak! piękna dziewczyna z biblioteki..z deczka zaskoczony zapytałem czemu Panienka zakłada że czegokolwiek szukałem (nie było to zbyt mądre pytanie zwarzywszy na fakt że miałem na sobie plecak z doczepioną saperką a owa osoba wydawała mi książki na temat historii i sama polecała mi ciekawe pozycje dotyczące tematu poszukiwań) – odpowiedź była znajoma.. znów parsknięcie kobiecego śmiechu.. w tej właśnie to chwili uświadomiłem sobie że błysnąłem przed kobietą jak spalona żarówka. Jednak by szybko wybrnąć z tej sytuacji dorzuciłem „aa tak..znalazłem znalazłem ale jeśli Panienka chce wiedzieć co to zapraszam jutro na kawę”... kilka sekund nerwów i odpowiedź.. ”bardzo chętnie”..

I tak ten niezwykle bogaty w wydarzenia dzień się właśnie zakończył.

..... kawa zamieniła się w wino na pięknej łące a owe Dziewczę w największy Skarb jaki znalazłem tamtego dnia i chyba w całym swoim życiu! Bezcenny Skarb! ☺ Zaś cały ten splot wydarzeń na stałe zaszczerpił we mnie miłość do historii zamkniętej między innymi w metalu i rdzy spoczywających w ziemi.



Ziemia

Środa 21 maja 2008 r. popołudnie.

Mijają mnie obce twarze spieszących się, nie wiadomo dlaczego, ludzi. Wokół wszechobecny gwar rozmów i warkot pełznących w obłokach spalin popołudniowego szczytu samochodów. Nienawidzę miasta.

Będąc jedynie anonimowym elementem ulicy zmierzam do sklepu w codziennym rytuale zakupów. Buntując się, zmieniam trasę. Chcę sprawdzić, czy w sprzedaży pojawił się nowy numer kwartalnika „Militaria XX wieku”. W „Kolporterze” z daleka widzę znajomą okładkę, przeglądam uważnie spis treści. Było nie było 12 złotych. Wreszcie tytuł „Zapomniana bitwa. Uderzenie rozpoznawcze 5 DPanc. pod Filipowem w styczniu 1945 r.” Kupuję...

W mieszkaniu, przy schłodzonym piwie, uważnie studiuję treść magazynu. Wpada mi w oko ciekawy artykuł - rzetelnie skonstruowana, poparta licznymi fotografiami rozbitych niemieckich czołgów opowieść o uderzeniu rozpoznawczym niemieckiej grupy pancerniej. Zaciekawiają mnie zamieszczone w artykule mapki. Zielone i czerwone romby wojsk biegną dokładnie przez tereny miejscowości, które już od dwóch lat są niedoszłym celem moich wycieczek z wykrywaczem. Co więcej, wyraźnie widać na nich, tworzące gospodarstwa symbole zabudowań, a przecież nawet osoba znająca nawet pobieżnie tamte tereny będzie wiedziała że żadnych zabudowań teraz tam nie ma... Zaczynam obawiać się, że kolejna, jeszcze nie spenetrowana przeze mnie miejscówka, stanie się Mekką poszukiwaczy militariów z okolicznych miast... Co robić, co robić...

Czwartek 22 maja 2008 r. Boże Ciało, popołudnie.

Pogoda... kiepska. Szare ołowiane chmury dominują na niebie przez większość dnia. Nie są

jednak w stanie, przeszkodzić mi w przeprowadzeniu krótkiego terenowego „rozpoznania”. Pakuję sprzęt - saperkę, wykrywacz, aparat fotograficzny, wodę do picia i mapy do samochodu. Wyjeżdżam grubo po piętnastej, szybko pokonuję trzydziestokilometrową trasę, w końcu wolno skręcam w malowniczą poniemiecką brukowaną drogę. Będąc u celu podróży z zaciekawieniem rozglądam się wokół, powracając myślami do treści, przeczytanego kilkakrotnie wczoraj, artykułu.

Nie mając dokładnie określonej miejscówki, skręcam po prostu w pierwszą polną drogę i po kilku minutach zatrzymuję samochód. Wokół morze zieleni, tu i ówdzie widać biało kwitnące drzewa, pofałdowany teren poprzecinany jest kępami zarośli i polami uprawnymi. Wiosna. Szybko zrzucam „miastowe” ciuchy i przebieram się w panterkę i zielone bojówki - nieodłącznych towarzyszy moich wypraw. Mam nadzieję, że mimo iż mój strój nosi liczne ślady poprzednich poszukiwań w terenie, wyglądam bardziej na „poszukiwacza przygód” niż... włóczęgę. Zakładam jeszcze równie brudne skórzane buty na grubym protektorze, po czym montuję wykrywacz.

Kwitnące drzewa owocowe pozwalają precyzyjnie określić miejsca zrujnowanych gospodarstw.

Po kilkuset metrach postanawiam zagłębić się w niewielką kępę drzew znajdujących na polu. Ślady okopów ją okalających wskazują na wojenną przeszłość tego miejsca, wykrywacz nie sygnalizuje jednak nic ciekawego, znajduję jedynie łuski od pepeszy. Co prawda mam

głęboki sygnał w okopie, mój wykop jednak już na 50 centymetrach szybko wypełnia się wodą w której mimo to uparcie kopię. Dziura ma już prawie metr głębokości kiedy ostry zgrzyt sygnalizuje znalezisko. Kładę się na ziemi i zanurzam po ramię rękę w brudnej wodzie, palcami starając się zidentyfikować przedmiot. Ostre i cienkie krawędzie wskazują na blachę jaką żołnierze często wykorzystywali do budowy prowizorycznych schronień. Mam nadzieję, że jest tak w rzeczywistości, nie jestem bowiem w stanie jej wydobyć. Idę dalej... Rozglądam się wokół posuwając się wzdłuż zarośniętego krzakami podmokłego obniżenia. Mój wzrok przykuwa wreszcie odległa grupa kwitnących białych drzew, nawet z tej odległości rozpoznaję jednak w nich potężne kilkudziesięcioletnie jabłonie. Koryguję swoją trasę i poprzez zasiane zbożem pole, docieram do nich po kilkunastu minutach. Zagłębiam się w mur zieleni, kamienne fundamenty widzę już po kilku krokach. Oddycham z ulgą widząc te pozostałości zabudowań. Nie ma pozostawionego na wierzchu żelastwa oraz niezasypanych dziur, jakie często zostawiają pseudoposzukiwacze. Dziewicze miejsce. Umiejscówka przez duże M.

Odkładam plecak pod okazałą lipą. Kilka łyków wody i nieskrępowany już zbędnym ciężarem, prawą ręką chwytam wykrywacz a na lewe ramię zarzucam saperkę Fisakarsa. Zaczynam od najbardziej oczywistego i obiecującego miejsca - sadu położonego od południowo - zachodniej strony ruin, tuż za pozostałościami kamiennego budynku gospodarczego. W cieniu znajdujących się tu kilku rozłożystych jabłoni nie znajduję jednak nic ciekawego, ot zaledwie kilka „dupereli”. Zielsko sięga już zuchwale kilkudziesięciu centymetrów. Bezlitośnie rozsuwam je sondą wykrywacza. Dotarłem do końca fundamentów budynku, skręcam w prawo, pokrzywy są tu jeszcze większe, rośnie też kilka zdziczałych jabłoni i wiśni. Po kilku minutach kręcenia się wokół ich pni Ultra radośnie i solidnie obwieszcza znajdujący się pod ziemią metal. Przesuwam sondę w obie strony, sygnał jest ciągły na obszarze mniej więcej 2 x 2 metra. Ki czort? Namiar jak na czołg! Odkładam wykrywacz i chwytam saperkę. Ziemia jest twarda, pełna odłamków cegieł, dachówek oraz

korzeni rosnących nieopodal drzew. Delikatne metaliczne zgrzytnięcie obwieszcza, że znalezisko znajduje się ledwie dwadzieścia – trzydzieści centymetrów pod ziemią. Obły szary kształt napawa nadzieją. Skrytka? Kilka następnych ruchów saperką i kształt coraz bardziej przypomina zaokrąglony bok ...beczki leżącej na boku. Wyobrażenia podsuwa obraz jej wnętrza wypełnionego szklaną i porcelanową zastawą. Zdejmuję panterkę, tak jest wygodniej, poza tym jest mi już w niej za ciepło. Do ataku, zwabione potem przystępują komary. Duszno, komary, zielsko. Tylko piwa brak... Usunąłem już dość ziemi by jednoznacznie stwierdzić, że to 200 litrowa beczka do paliwa. Dzwonię do Justyny.



Beczka nie posiada oznaczeń wojskowych III Rzeszy. Nie widać niestety też śladów po większym otworze, który mógłby być wykorzystywany do włożenia do jej wnętrza „depozytów”. Mimo tego adrenalina wciąż zmusza mnie do działania. Co kilkanaście minut robię krótką przerwę na łyk wody, robię też kilka zdjęć. Trzonek saperki jest mokry i śliski od potu kiedy po prawie godzinnym wysiłku odkopuję w całości moje znalezisko. Od jakiegoś czasu w powietrzu unosi się charakterystyczny dławiący zapach... Zapieram się nogami o ścianę wykopu i próbuję podnieść beczkę. Nawet nie drgnie. Dopiero po kilku kolejnych próbach i podważaniu saperką, udaje mi się ją oderwać od podłoża i postawić pionowo w wykopie. Kolejny wysiłek i niespodziewanie łatwo udaje mi się ją wypchać na powierzchnię...

Stoi przede mną- swym ODKRYWCĄ, wydobyta po sześćdziesięciu czterech bez mała latach, szara, pokryta jeszcze ziemią, odarta ze swej tajemnicy. Wiem, że w środku jest paliwo, najprawdopodobniej nafta. Mimo to uśmiecham się z zadowoleniem- toż to znalezisko rzadkie i nietypowe! Równie często występujące w przyrodzie jak MG -34.



Mimo tak długiego przebywania pod ziemią jej stan jest rewelacyjny, rdza pokrywa jedynie stalowy korek, reszta to świetnie zachowana ocynkowana blacha. Niesamowite. Rozglądam się wokół, przypominając sobie, że sygnał był bardzo rozległy - uruchamiam mojego Rutusa – jest! Wysoki i silny sygnał zaledwie metr dalej. Przez głowę błyskawicznie przebiegła myśl - druga... Nie, zamiar jest dużo mniejszy, wiem jednak, że to depozyt. Doświadczenie, instykt, intuicja jakby tego nie nazwać- po prostu wiem. Szukam, szukania mi trzeba...

Delikatnie zdejmuję warstwę darni wymieszanej z kawałkami cegieł. Ledwie kilkadziesiąt sekund wystarczy, by odsłonić owalny płaski kształt z centralnie umieszczonym uchwytem - pokrywę kotła, beczki? Jak zawsze palcami sprawdzam, czy są pod nią boczne ścianki. Są. Uśmiech rozjaśnia mi twarz. Dzwonię do Justyny by na

żywo przekazać jej relację z kolejnego ODKRYCIA. W głowie miałem widok śnieżnobiałej PORCELANY, równo i schludnie poukładanej wewnątrz pojemnika.



W lewej dłoni trzymam telefon, przykucam, by w prawą ująć uchwyt wieka. Chwilę droczę się z Justyną by w końcu na jej kategoryczne „Podnieś wreszcie !” podjąć próbę odsłonięcia wnętrza. Przychodzi mi to bardzo łatwo, po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat światło dnia dociera do środka...

Z mych ust mimochodem wyrywa się niecenzuralne słowo, jednocześnie szarpię się do tyłu.

Szmaty! Spleśniałe czarne szmaty! No nie tylko... Tak mnie zaskoczył ich widok, że dopiero po chwili zwracam uwagę na solidny zielony gąsior do wina tkwiący wśród zniszczonych tkanin. Tak na oko co najmniej 10 litrowy. Chwytam go za grubą szyję, jest w $\frac{3}{4}$ pełen. Pierwsza myśl –bimber, spirytus? Po wyciągnięciu gąsiora na powierzchnię usuwam z niego korek i uderza mnie fala dobrze już dziś znanego mi zapachu- nafta! Znowu... Dobrze, że nie palę...

Wiklinowa osłona gąsiora jest w oplakanym stanie, większość jej zgniła. Wnętrze kotła do połowy wypełnia woda. Działając razem, wilgoć i czas, brutalnie przekształciły ukrytą odzież w niedającą się rozpoznać bezkształtną masę.

Usuwałam saperką obrzydliwe szmaty, a następnie resztę zawartości, wśród której największe wrażenie robi na mnie ogromna, czarna, drewniana chochla, zachowana o dziwo w pięknym stanie. Poza tym jest też drewniany wałek do ciasta, niewielki pędzelek, porządne metalowe sitko, osełka oraz dwa pojemniki do noszenia przy pasie oselki podczas koszenia – pierwszy wykonany z krowiego rogu, drugi metalowy, oba bardzo ładnie zachowane. Poza tym jakieś niezidentyfikowane, zniszczone drewniane fragmenty. Skrytka. Depozyt. Miejsce gdzie schowano rzeczy najcenniejsze, najbardziej potrzebne. Jakże różni się współczesne podejście do tego typu przedmiotów! Jednak dla mnie stanowią one wymowne świadectwo czasów wojny. Żaden podręcznik historii nie przedstawił mi tragedii ludzi zmuszonych do opuszczenia swojego domu, swojej ziemi, w sposób tak wstrząsający. Przyglądam się przez chwilę zachowanej w bardzo dobrym stanie metalowej pokrywie, następnie stojącej nieopodal beczce – zastanawiam się, jak wygląda reszta tkwiącego nadal w ziemi kotła... Przyglądam się mu podejrzliwie. Mętna woda wypełniająca wnętrze nie wygląda zachęcająco. Trudno, jest tylko jeden sposób – kopię. Pół godziny później podziwiam resztę wydobytego kotła. Stan rewelacyjny, zero rdzy, zachowane uchwyty, metalowe sito wewnątrz i szczegóły ukształtowania dnia określają jego przeznaczenie. Kocioł do bielizny. Tylko, jak to wszystko zabrać? Do samochodu daleko, nie mam czasu by obrócić dwa razy, zresztą i tak nie dałbym rady zabrać beczki. Trudno, spycham ją z powrotem do dołu i przysypuje ziemią- wrócę po nią z „posiłkami”.

Tymczasem zachmurzyło się jeszcze bardziej, spada kilka kropel deszczu. Dochodzi osiemnasta. Trzeba wracać. Plecak z wykrywaczem wędruje na plecy, podobnie saperka, wydobyte przedmioty pakuję do dużej plastikowej torby. Objuczony niemiłosiernie – niosę jednocześnie także wydobyty kocioł wraz z pokrywą i gąsior z zawartością, wlokę się z tą zdobyczą przez pola do samochodu. Co kilka minut robię przerwę, by poprawić „chwyt”. Zmęczony docieram do volkswagena. Nie mogę oprzeć się szczeniackiej pokusie – pamiętam, że w samochodzie mam zapalniczkę...



Wylewam zawartość gąsiora na zwirową drogę, podpalam papierową chusteczkę i chwilę potem zaskakuje mnie intensywność płomieni. Dobra niemiecka nafta. Ja, sehr gut. Po kilku minutach wciąż jednak nie widać końca tego kontrolowanego pożaru, a w niebo wali coraz większy słup, tłustego, czarnego dymu. Zrobiło się też jakby cieplej... Okolica niby odludna, niebo pochmurne, ale zaczynam obawiać się alarmu. Trudno, ziemią z sąsiedniego pola gaszę płomienie. W powietrzu wciąż unosi się silny zapach nafty. Niechby jeszcze kiedy piorun trafił w to miejsce, oj dziwowali by się ludziska. „Panie ogień ino sam szedł z ziemi, że hej”. Uśmiecham się do tych myśli, pakuję wszystko do samochodu, przebieram się i odjeżdżam.

A co z beczką? Jeszcze tego samego dnia telefonicznie sprzedałem temat Pawłowi. Był wyraźnie zainteresowany. Było nie było, solidna niemiecka beczka z zawartością. No i „gratis jest”.

Sobota 24 maja 2008 r.
Pogoda pochmurna i deszczowa. Popołudnie. Decydujemy się z Pawłem na przywiezienie beczki do rodzinnego domu. Golfikiem. Ojciec także wybiera się z nami. Już w czasie jazdy pogoda się pogarsza. Pada. Paweł martwi się że nie zabrał ze sobą żadnej bluzy, jest ubrany jedynie w koszulę. Cieszę się teraz, że zabrałem swoją panterkę z kapturem.

Oj, ciężko było... Po odkopaniu i wyciągnięciu beczki przekonujemy się, że dwóch ludzi nie jest stanie przenieść jej dalej niż o kilka metrów. „Ot zagrzęźli my i czort karty rozdaje”. Ktoś

zapropował - toczyć! Nu i tak potoczyli my ją przez pola... Deszcz nawet na chwilę nie ustał. Beczka szybko oblepiała się mokrą ziemią i gliną, tak że ciężko było ją toczyć nawet we dwóch, dlatego też, kilkakrotnie odrywamy z niej ziemię saperką. Mimo deszczu robi się nam gorąco. Zostawiamy za sobą szeroki ślad, coś jak gdyby przeszła tędy gigantyczna gąsienica. Cała scena miała w sobie zapewne dużo surrealizmu. Do samochodu docieramy już kompletnie przemoczeni. Ostatni wysiłek- pakujemy beczkę na tylną kanapę Golfa. Taa, jeszcze tylko w drodze powrotnej PAWEŁ-KTÓRY- NIGDY-NIEBŁĄDZI upiera się na inną trasę i marnujemy kilkadziesiąt minut zanim wrócimy z powrotem na główny szlak. Ciągłe mży. Kiedy docieramy wreszcie do domu, na otwieranie beczki nikt już nie miał ochoty... Dwa dni później i kilkadziesiąt metrów dalej od poprzednich skrytek namierzam i odkopuję kolejny kocioł. Tym RAZEM wypełniony PORCELANĄ ... To już zupełnie inna historia...



Na depozyty pozostawione przez cywilnych mieszkańców byłych Prus Wschodnich trafiam

każdego roku. Każdego roku odnajduję także hełmy porzucone przez walczące ze sobą armie dwóch totalitarnych reżimów. W moich poszukiwaniach oba rodzaje znalezisk, cywilnych i militarnych ciągle przeplatają się ze sobą, pozwalając dostrzec tragedię, która stała się udziałem zwykłych ludzi. Ludzi takich ja my, którym nie pozwolono decydować o swojej przyszłości. Zmuszonych do opuszczenia własnych domów i gospodarstw. Zmuszonych do przemierzenia wraz z najbliższymi kilkuset kilometrów oblodzonych i zaśnieżonych dróg Prus Wschodnich podczas mroźnej zimy 1944/45 r. Mających zapewne nadzieję, że często powierzonego ziemi dobytku, przed ich powrotem nie odnajdzie nikt obcy..... Czuję się odpowiedzialny za odnajdywane przedmioty. Jedynie historia sprawiła, że staję się pierwszą osobą, która dotyka ich po kilkadziesiąt lat. Przede mną dotykały ich jedynie dłonie prawowitych właścicieli. Często zastanawiam się w takich chwilach kim byli. Jak wyglądali. Czy odnalezione przedmioty ukryła staruszka, dla której sporządzenie skrytki było wysiłkiem i fizycznym cierpieniem, czy dziewczyna ciemnych włosów splecionych w warkocz...

Wiem jedno. Dla mnie poszukiwanie ukrytych depozytów stanowi przygodę, wyzwanie, pozwalające poczuć krążącą we krwi adrenalinę i radość z sukcesu, dla Nich ich ukrycie było okrutną rzeczywistością czasów wojny... Czas stężał. Oni pragnęli uratować chociaż część dobytku przed zdeptaniem przez podkute żołnierskie buty, rozgrabieniem i obcoplemienną drwiną. Powierzali go ziemi. Ziemi, która spulchniona ich potem, rodziła chleb, zapewniała utrzymanie, która nigdy ich nie zdradziła. Ziemi, która nadal wiernie strzeże powierzonych jej tajemnic. Ziemi, która na ruinach rodzi pokrzywy broniące dostępu do SKARBÓW. Odchodząc, obiecali jej, że wrócą...

Grzegorz Kramkowski

Ordery, odznaki i odznaczenia wojskowe cz. 10



Odznaka pamiątkowa, 28 Pułk Strzelców Kaniowskich, Łódź, żołnierska, jednoczęściowa, tombak srebrzony, nakrętka S, Bobkowicz



Odznaka pamiątkowa, 35 Pułk Piechoty, Brześć nad Bugiem, żołnierska, jednoczęściowa, tombak srebrzony, nakrętka Jan Knedler



Odznaka pamiątkowa, 66 Kaszubskiego Pułku Piechoty, Chełmno, oficerska, dwuczęściowa, srebro niesygnowane, emalia



Odznaka pamiątkowa, 4 Pułku Artylerii Ciężkiej, Łódź, żołnierska, dwuczęściowa, biały metal,



Odznaka pamiątkowa, Front Pomorski,
jednoczęściowa, tombak srebrzony,

*Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz
Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.
www.pgnum.pl*

Szczałki szybującego gada z triasu

Szczałki szybujących gadów - sprzed 230 mln lat - odkryli polscy paleontolodzy w Krasiejowie (woj. opolskie). Opisany przez naukowców nowy gatunek - Ozimek volans - to największy znany dotąd gad latający z tak odległych czasów.

Ozimek volans liczył 90 cm długości, a rozpiętość jego kończyn wynosiła ponad pół metra. Z wyglądu przypominał jaszczurkę o nazbyt wydłużonych nogach, między którymi rozpięta była błona lotna. Gad miał długą, ruchliwą szyję oraz podłużny ogon. Wyglądał "trochę jak skrzyżowanie węża, nietoperza i polatuchy. Dlatego sami byliśmy zaskoczeni, kiedy go odkryliśmy" - przyznał podczas poniedziałkowej konferencji prasowej w Warszawie dr hab. Tomasz Sulej z Instytutu Paleobiologii PAN w Warszawie (IP PAN).

Pierwsze kości ozimka znaleziono w Krasiejowie w 2001 r., a ostatnie - w 2013 r. - poinformował dr Sulej. Badacze dysponują kilkoma skamieniałościami całych szkieletów oraz pojedynczymi kośćmi. Publikacja na temat gada ukazała się w poniedziałek w czasopiśmie "Acta Paleontologica Polonica". "Opisanie, co to jest, zajęło nam bardzo dużo czasu, bo nigdzie na świecie nie było nic podobnego" - zaznaczył Sulej, jeden z autorów opracowania.

Kierownik badań, prof. Jerzy Dzik, dyrektor IP PAN, wyjaśnił, że Ozimek volans - czyli ozimek latający - swą nazwę otrzymał na cześć gminy Ozimek (woj. opolskie), na terenie której leży Krasiejów, gdzie dokonano odkrycia.

"Zwierzę należało prawdopodobnie do przodków gadów latających i było wśród zwierząt szybujących zwierzęciem największych rozmiarów; żadne nie może się z nim równać. Dopóki nie zostanie znalezione nic większego,

(ozimek - przyp. PAP) może pretendować do roli króla przestworzy w okresie triasowym" - komentował na poniedziałkowej konferencji prasowej prof. Dzik. Jak podkreślał badacz, ozimek nie był dinozaurem, ale z dinozaurami był stosunkowo blisko spokrewniony.

Przy sprzyjających wiatrach ozimek mógłby wznieść się w powietrze, nie byłby to jednak lot aktywny, jak w przypadku ptaków czy nietoperzy. Ozimek był więc raczej szybownikiem - powiedział w rozmowie z PAP dr Sulej. Umiejętność szybowania pomagała mu nie tylko polować - zapewne na owady, ale przede wszystkim unikać drapieżników. Jak dodał Sulej, w tamtych czasach zagrożenie dla ozimków mogły stanowić polnozuchy - drapieżne gady, których szczątki również znaleziono w Krasiejowie.

Prof. Dzik zwrócił uwagę, że nietoperze - mające rozbudowane mięśnie w części piersiowej - w czasie lotu posługują się kończynami przednimi. Ozimek zaś reprezentował inne stadium ewolucji, w którym "przednie kończyny nie były zdolne do aktywnego lotu, a główna masa mięśniowa była zlokalizowana w okolicach miednicy".

Badacze z IP PAN dodali, że dopiero po pewnym czasie na Ziemi pojawiły się pterozaurowe - gady latające, które błonę lotną miały na przednich kończynach.

Na razie nie ma dowodów na to, że ozimek należy do linii ewolucyjnej prowadzącej do gadów latających - przyznał prof. Dzik. Ozimek jest bowiem zbyt niepodobny anatomicznie - ani do form pierwotniejszych gadów latających, ani do gadów bardziej zaawansowanych. "Mamy jednak nadzieję, że uda się znaleźć położenie

tego zwierzęcia na drzewie rodowym gadów" - skomentował kierownik badań.

Badacze mają nadzieję, że po ich publikacji zaczną się pojawiać informacje o podobnych znaleziskach w innych częściach świata. "Jestem pewien, że w szufladach wielu badaczy są szczątki zwierząt podobnych do ozimka" - skomentował prof. Dzik i dodał, że naukowcy mogli jednak dotąd nie wiedzieć, szczątkami jakich zwierząt dysponują.

Jedną z kości ozimka paleontolodzy znaleźli dodatkowo na terenie cegielni w gminie

Woźniki. "Tam być może udałoby się znaleźć więcej kości, ale nowy właściciel terenu nie pozwala prowadzić wykopalisk" - powiedział dr Sulej. Taka zgoda jest konieczna do prowadzenia badań.

Model ozimka i jego kości można oglądać od poniedziałku w Muzeum Ewolucji Instytutu Paleobiologii PAN w Warszawie.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Odkrycie dymarek w Kaniach

Ponad 70 dymarek - starożytnych pieców do wytopu żelaza - odkryli archeolodzy w czasie wykopalisk w Kaniach (woj. mazowieckie). Znajdźiska dokonano w ramach badań poprzedzających budowę osiedla mieszkaniowego.

Osada odkryta przez archeologów należy do prężnie działającego ok. 2 tys. lat temu Mazowieckiego Centrum Metalurgicznego zlokalizowanego w zachodniej części Mazowsza. Było to jedno z największych tego typu zagłębi hutniczych na terenie ówczesnej "barbarzyńskiej" Europy - jak Rzymianie określali mieszkańców tej części kontynentu, żyjących poza obszarem Cesarstwa. Archeolodzy szacują, że przez cały okres funkcjonowania Mazowieckiego Centrum Metalurgicznego (II w. p.n.e. – IV w. n.e.), mogło łącznie pracować nawet 150 tys. pieców hutniczych.

"Dymarki były piecami jednorazowego użytku. Dzisiaj odkrywamy jedynie zagłębione części pieców, tzw. kotlinki, które wypełnione są materiałem odpadowym, czyli żużlem. Naziemną część dymarki – gliniany szyb - po zakończeniu procesu wypału rozbijano, aby dostać się do żelaza uzyskanego z rudy darniowej" - wyjaśnia w rozmowie z PAP kierownik wykopalisk, dr Tomasz Kołomański.

Gliniane piece wkopywano częściowo w ziemię. Jednak ponad poziom gruntu wystawały kominy, których wysokość dochodziła do dwóch metrów. Wypał żelaza trwał około doby. Temperatura we wnętrzu pieca oscylowała wokół 1200-1300 stopni Celsjusza - wynika z informacji

przekazanych przez archeologa. Zdaniem badacza do tej pory nie udało się jeszcze skutecznie odtworzyć technologii produkcji żelaza sprzed dwóch tysięcy lat.

"Dzisiaj w trakcie eksperymentalnych prób wytopu żelaza z rudy darniowej jesteśmy w stanie wytworzyć grudkę żelaza mieszczącą się w dłoni, podczas gdy starożytni hutnicy z 200 kg wsadu uzyskiwali łupę żelaza o wadze 20-30 kg" - wyjaśnia dr Kołomański.

Oprócz dymarek, w obrębie przebadanej części osady hutniczej, badacze odkryli pozostałości po dużych pomieszczeniach gospodarczych. W ich wnętrzach znaleziono ciężarki tkackie i gliniane przęśliki, świadczące o wykonywanych zajęciach związanych z rękodzielnictwem, tkactwem i przędzalnictwem. Uwagę badaczy przykuły też liczne kości zwierzęce. Dzięki nim naukowcy są w stanie zrekonstruować dietę ówczesnej ludności. "Podstawę stanowiło mięso zwierząt hodowlanych – bydła, świni, owcy i kozy. Niewielki odsetek stanowiły szczątki zwierzyny łownej, jelenia i sarny" - dodaje archeolog.

Osadę zamieszkiwała ludność identyfikowana ze słynnym ludem Wandalów, którego przedstawiciele nieco później, w poł. V w., złupili Rzym.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Badania wraku niemieckiej barki desantowej

Naukowcom udało się zbadać leżący niedaleko wejścia do portu w Kołobrzegu wrak niemieckiej barki desantowej pochodzącej z drugiej wojny światowej. Jednostka mogła być wykorzystywana przy ewakuacji mieszkańców w 1945 r.

W środę naukowcy przedstawili wyniki prowadzonych przez Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu badań podwodnych stanowisk archeologicznych obszarów morskich w rejonie Kołobrzegu. Głównym celem przedsięwzięcia było zlokalizowanie i ewidencja historycznych wraków statków i okrętów.

"Najciekawszym znaleziskiem jest wrak blisko czterdziestometrowej długości niemieckiej barki desantowej prawdopodobnie związanej z działaniami wojennymi w marcu 1945 r." - powiedział PAP kierownik badań Michał Grabowski.

"Być może jednostka ta była wykorzystywana do ewakuacji ludności cywilnej z oblężonego przez Armię Czerwoną Kołobrzegu" - dodał Grabowski.

Wrak zlokalizowano w odległości jednej mili morskiej na północny-wschód od wejścia do kołobrzесьkiego portu. Jednostka spoczywa na głębokości 11-12 metrów.

Nadal trwają prace nad identyfikacją jednostki. "Wiemy, że jest to niemiecka barka desantowa, ale nie wiemy jakiego podtypu i nadal nie znamy jej numeru, który pozwoliłby nam poznać historię jednostki. Takich barek wyprodukowano ponad tysiąc i były one końmi roboczymi Kriegsmarine" - powiedział Grabowski.

Jednostki tego typu opracowano na początku wojny, głównie na potrzeby przygotowywanej niemieckiej operacji desantowej na Wielką Brytanię - poinformował Grabowski. Produkowane na masową skalę w różnych wariantach i podtypach wykorzystywano w niemieckiej marynarce wojennej na praktycznie wszystkich frontach II wojny światowej.

Jak podkreśla Grabowski, badania pozwoliły zdokumentować wrak i objąć go opieką konserwatorską. Dokumentacja wykonana przez naukowców pozwoli stworzyć cyfrowy model wraku, który będzie można dokładnie obejrzeć na stronie www.wraki.muzeum.kolobrzeg.pl.

Podwodne badania prowadzone przez kołobrzесьkie muzeum prowadzono od czerwca do sierpnia br. Naukowcy przebadali obszar dziewięciu kilometrów kwadratowych. Nurkowie natrafili także m.in. na betonowe bloki, podkłady kolejowe czy pozostałości po sieciach rybackich i trałach. Bloki betonowe i podkłady mogą mieć związek z powojenną odbudową kołobrzесьkiego portu. (PAP)

1914-18

WIELKA WOJNA NA WSCHODZIE

Od Bałtyku po Karpaty

Z kolekcji Tomasza Kuby Kozłowskiego



**THE GREAT
WAR IN THE EAST**

From the Baltic
to the Carpathian
Mountains

The Tomasz Kuba Kozłowski collection

WYSTAWA | EXHIBITION

**MUZEUM IM. ORŁA BIAŁEGO
SKARŻYSKO - KAMIENNA**

24.XI.2016 r. - 20.01.2017 r.

**wernisaż i spotkanie z Tomaszem Kubą Kozłowskim
w dniu 24.XI.2016 r. o godz. 12.00**

Odkrycia w parku w sąsiedztwie zamku w Gołuchowie



Pozostałości zabudowy gospodarczej, przebieg dawnych ścieżek ogrodowych i zbiorników wodnych odkryli w parku w sąsiedztwie zamku w Gołuchowie archeolodzy dzięki zastosowaniu metod geofizycznych. O najnowszych znaleziskach poinformował PAP Michał Pisz z UW.

Obszar parku, przylegającego do liczącego ponad 400 lat zamku w Gołuchowie, do tej pory nigdy wcześniej nie był badany przez archeologów. Dlatego celem było zlokalizowanie i identyfikacja pozostałości po budowlach i przebiegu dawnych ścieżek wytyczonych w jego obrębie.

"Obecnie nie są one widoczne na powierzchni ziemi. Znamy je dzięki opisom i ilustracjom archiwalnym z XVIII i XIX wieku" - wyjaśnia PAP jeden z kierowników przedsięwzięcia, Michał Pisz z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. Drugim koordynatorem badań była dr Inga Głuszek z

Muzeum Narodowego w Poznaniu i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Z uwagi na przedmiot badań, zabytkowy park, badacze nie zdecydowali się na klasyczne prace archeologiczne w postaci wykopalisk. Wykorzystali metody nieinwazyjne, które umożliwiają uzyskanie odpowiedzi na pytania bez zagłębienia łopaty w ziemię.

"Dzięki precyzyjnym pomiarom wykryliśmy wiele konstrukcji zalegających w ziemi, nie niszcząc przy tym krajobrazu" - dodaje Pisz. Badacze nakreślili też przebieg dawnych ścieżek ogrodowych i zasięg oczek wodnych - na przestrzeni kilkusetletnich dziejów zamku przylegający do budowli park zmieniał swój kształt.

Naukowcy działali w terenie dwukrotnie - wiosną i jesienią tego roku. Najpierw wykonali pomiary geofizyczne gruntu. Następnie przy pomocy drona stworzyli precyzyjną, ortofotomapę terenu o wysokiej rozdzielczości.

Dzięki temu naukowcy nie tylko zadokumentowali obecny stan parku - pozyskane dane posłużyły również do ułatwienia analizy i interpretacji danych geofizycznych. Wszystkie wyniki wraz z danymi archiwalnymi, które badacze pozyskali w wyniku kwerendy, trafiły teraz do zintegrowanej bazy danych systemu informacji przestrzennej (GIS).



"Taki sposób ewidencjonowania zasobów informacji archeologicznych ułatwi w przyszłości służbom konserwatorskim podejmowanie różnego rodzaju działań związanych z ochroną tego terenu" - przekonuje Pisz.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Wykonanie pomiarów geofizycznych było możliwe dzięki dofinansowaniu, jakie naukowcy otrzymali od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach priorytetu Ochrona Zabytków Archeologicznych.

Rezydencja w Gołuchowie zawdzięcza swój współczesny wygląd działaniom Izabeli Czartoryskiej w XIX w. Jednak pierwszy wzniesiony w Gołuchowie zamek datowany jest na XVI wiek. Początki budowli związane są z rodem Leszczyńskich, którzy zakupili Gołuchów w 1507 roku. W XVIII i pierwszej połowie XIX wieku posiadłość miała kilku właścicieli. Ostatecznie zamek zakupił w 1854 roku Tytus Działyński dla swojego syna - Jana Działyńskiego (jego żoną była Izabela Czartoryska). Dopelnieniem rezydencji są rozległe ogrody i park, które mają stanowić tło podkreślające walory i elegancję zamku. Od 1951 r. rezydencja należy do Muzeum Narodowego w Poznaniu.

"Przeprowadzone pomiary przyniosły wiele nowych informacji dotyczących posiadłości Izabeli Czartoryskiej w Gołuchowie. Jednak przed nami jeszcze dalsza żmudna praca nad interpretacją otrzymanych wyników z dostępnymi informacjami z archiwów XIX-wiecznych" - kończy Pisz.

Pradziejowe cmentarzysko przy budowanej S3

Blisko tysiąc pochówków sprzed ponad 3 tys. lat odkryli archeolodzy w Paszowicach (woj. dolnośląskie) na trasie planowanej drogi S3. Na kilkunastu naczyniach znalezionych wewnątrz grobów widoczne są namalowane swastyki, spirale i inne wzory.

"W sumie znaleźliśmy około tysiąc siedmiuset naczyń - urn grobowych z prochami zmarłych i naczyń, w których bliscy złożyli w czasie pogrzebu żywność i dary grobowe. Ogrom odkryć zaskoczył nas!" - zaznacza PAP kierownik badań, Piotr Janczewski z pracowni Archgeo. Tam, gdzie nie było urn, spopielone szczątki zostały wsypane wprost do jamy grobowej. To jedno z większych cmentarzysk z tego okresu w tym regionie.

Na cmentarzysku spoczęli przedstawiciele społeczności kultury łużyckiej, rolnicy i hodowcy zwierząt. O tym, że doskonale radzili sobie również w wytwarzaniu metali, świadczą pozostałości pieców odkryte niedaleko badanego cmentarzyska w Paszowicach.

O bogactwie cmentarzyska świadczy różnorodność odkrytych tam ceramicznych naczyń (w sumie - kilkunastu). Część z nich była zdobiona guzami, część - malunkami wykonanymi czarnym barwnikiem na jasnym pomarańczowym tle - relacjonują archeolodzy. Wśród namalowanych wzorów pojawiają się figury geometryczne, spirale, trójkąty, trykwetry i swastyki - te ostatnie, zdaniem badaczy, związane są z symboliką solarną.

Na jednym z naczyń znajdował się - być może - wizerunek kobiety. "Przedstawiono ją w formie +kubistycznej+. Przypuszczamy, że jest to

bogini płodności, na co wskazują obfite kształty przedstawionej postaci" - dodaje Janczewski.

Na przestrzeni lat, w czasie których dawni mieszkańcy badanej okolicy korzystali z cmentarzyska, zmieniała się forma i kształt urn, do których wsypywano szczątki zmarłych. Wspólną cechą naczyń jest fakt, że wykonano je w pieczołowity sposób: są cienkościenne i bardzo estetyczne, w przeciwieństwie do tych odkrywanych na pobliskiej osadzie z tego samego okresu - podkreślają naukowcy.

Oprócz urn i naczyń w części grobów archeolodzy znaleźli też kilkadziesiąt przedmiotów z brązu i żelaza. Są to m.in. narzędzia - sierpy i noże, ale też ozdoby - w tym szpile, bransolety i naszyjniki. W jednym grobie odkryto broń, czekan z brązu.

"Znaczenie tego przedmiotu mogło być symboliczne - prestiżowe. Przypuszczamy, że w grobie, w którym go znaleźliśmy, pochowano osobę ważną, być może wodza" - opowiada Janczewski.

Wykonane z metali przedmioty leżały najczęściej obok urn i innych naczyń, drobniejsze przedmioty (zausznicze czy szpile) rzadziej znajdowały się wewnątrz urn wraz ze szczątkami.

Cmentarzysko funkcjonowało przez ponad pół tysiąca lat - oceniają archeolodzy. W tym czasie ulegał zmianie rytuał pogrzebowy. Niektórym urnom towarzyszyło zaledwie jedno dodatkowe naczynie ceramiczne, innym - wiele, co można wiązać ze zmieniającą się modą lub różnicą w majątności zmarłych. Badacze zwracają też uwagę na fakt, że część grobów była wkopana w

te, które powstały już wcześniej. "Po pewnym czasie nie pamiętano, w którym miejscu znajdowały się poprzednie groby, zapewne sprzed kilkudziesięciu - a może nawet ponad stu lat" - tłumaczy archeolog.

Największe wrażenie na archeologach zrobiły obszerne groby, których komory obłożono dużymi głazami, jak też usypane z ziemi i kamieni pochówki kurhanowe. Pojedyncze groby znajdowały się w ich górnej części i nie zachowały się do dziś (pradziejowe cmentarzysko znajduje się na polu rolnym, i wszystkie znalezione kurhany zostały już dawno rozorane). W przypadku kilkunastu kurhanów do naszych czasów zachowały się jedynie fundamenty. Średnica kopców wynosiła maksymalnie 7-8 m.

Wykopaliska w Paszowicach, prowadzone na zlecenie Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, trwały od marca do listopada. Obecnie zabytki trafiły do konserwatorów i specjalistów, którzy przygotowują ich naukowe opracowanie. Jak poinformował PAP Janczewski, za rok zabytki zostaną przekazane do Muzeum Regionalnego w Jaworze, gdzie powstanie obszerna wystawa na temat pradziejowego cmentarzyska.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziełowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



KAROL
MUSICAL O ŻYCIU
JANA PAWEŁA II

WIDOWISKO Z UDZIAŁEM:
ANNY WYSZKONI
PIOTRA CUGOWSKIEGO
WOJCIECHA CUGOWSKIEGO

WWW.MUSICAL-KAROL.PL

**TAURON ARENA KRAKÓW,
25 LUTEGO 2017 R., GODZ. 18.00**

Monety Królestwo Polskie 1815-1855



50 złotych 1818, Warszawa, Kop. 2736, Plage 2, Bitkin 784, złoto 9.78 g.



50 złotych 1829, Warszawa, Kop. 2744, Plage 10, Bitkin 923 R1, złoto 9.70 g.



25 złotych 1832, Warszawa, Kop. 2733, Plage 21, Bitkin 926, złoto 4.87 g., justunek na rewersie, *rzadki rocznik*



25 złotych 1829, Warszawa, Kop. 2732, Plage 20, Bitkin 925, złoto 4.85 g.



25 złotych 1818, Warszawa, Kop. 2724, Plage. 12, Bitkin 792, złoto 4.90 g.



Złotówka 1827, Warszawa, Kop. 2678, Plage 70, Bitkin 941



2 złote 1830, Warszawa, Kop. 2703, Plage 61, Bitkin 940



25 złotych 1824, Warszawa, Kop. 2729, Plage 17, Bitkin 796 R1, złoto 4.88 g.



25 złotych 1817, Warszawa, Kop. 2723, Plage 11, Bitkin 791, złoto 4.90 g.



Złotówka 1822, Warszawa, Kop. 2674, Plage 66, Bitkin 823, *rzadki przejściowy typ monety*



5 groszy 1836, Warszawa, Kop. 9374, Plage 136, Bitkin 1135



5 groszy 1827 FH, Warszawa, Kop. 2648, Plage 125, Bitkin 962



Złotówka 1832, Warszawa, Kop. 2685, Plage 77, Bitkin 948,



5 złotych 1817, Warszawa, Kop. 2705, Plage 35, Bitkin 807

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl

Oblot prototypu bombowca Łoś



PZL-37 „Łoś” jest z pewnością jednym z najbardziej znanych polskich samolotów okresu dwudziestolecia międzywojennego. Był to dwusilnikowy bombowiec o nowoczesnej konstrukcji, który wedle projektów miał zastąpić przestarzałe samoloty bombowe Fokker F.VIIB/3m, znajdujące się na wyposażeniu krajowych sił zbrojnych.

U genezy prac nad konstrukcją nowej broni powietrznej legła również rozpropagowana w owym czasie doktryna wojenna stworzona przez włoskiego gen. Giulio Douheta. Zakładała ona między innymi, że swoją siłę lotnictwo każdej armii winno opierać przede wszystkim na bombowcach. Zwolennikiem owej koncepcji w wojsku polskim był gen. Ludomił Rayski, który w latach 1926–1936 piastował urząd szefa Departamentu Lotnictwa w Ministerstwie Spraw Wojskowych, a następnie w latach 1936–1939 stał na czele Dowództwa Lotnictwa.

Rayskiemu udało się przeforsować swoją wizję sił powietrznych i na jesieni 1934 r.,

w wyniku wewnętrznego konkursu, dopuszczono do realizacji projekt bombowca „Łoś” autorstwa inżyniera Jerzego Dąbrowskiego. W konsekwencji czego, w sierpniu 1935 r., w Państwowych Zakładach Lotniczych na warszawskim Okęciu ruszyły prace nad prototypem samolotu.

W fazie projektowania główny nacisk kładziono na jak najlepsze osiągi maszyny, przy jak największym udźwigu. Ministerstwo Spraw Wojskowych wymagało, aby bombowiec przekraczał prędkość 360 km/h i miał maksymalny zasięg około 3000 km, przy największym możliwym ładunku 2500 kg bomb.

Oblotu pierwszego prototypu bombowca dokonał 13 grudnia 1936 r. pilot doświadczalny wytwórni PZL Jerzy Widawski. W trakcie zimowej próby wykryto liczne usterki, m.in. drgania tablicy przyrządów, nadmierne grzanie się silników, pękanie rur wydechowych oraz zacieranie się kranów paliwowych. Samą konstrukcję samolotu uznano jednak za dobrze rokującą i po wprowadzeniu niezbędnych poprawek opracowano dwa kolejne prototypy P-37 I i II, zaś Wojskowa Komisja Odbiorcza dopuściła „Łosia” do produkcji seryjnej.

Do chwili wybuchu II wojny światowej zakłady w Warszawie i Mielcu

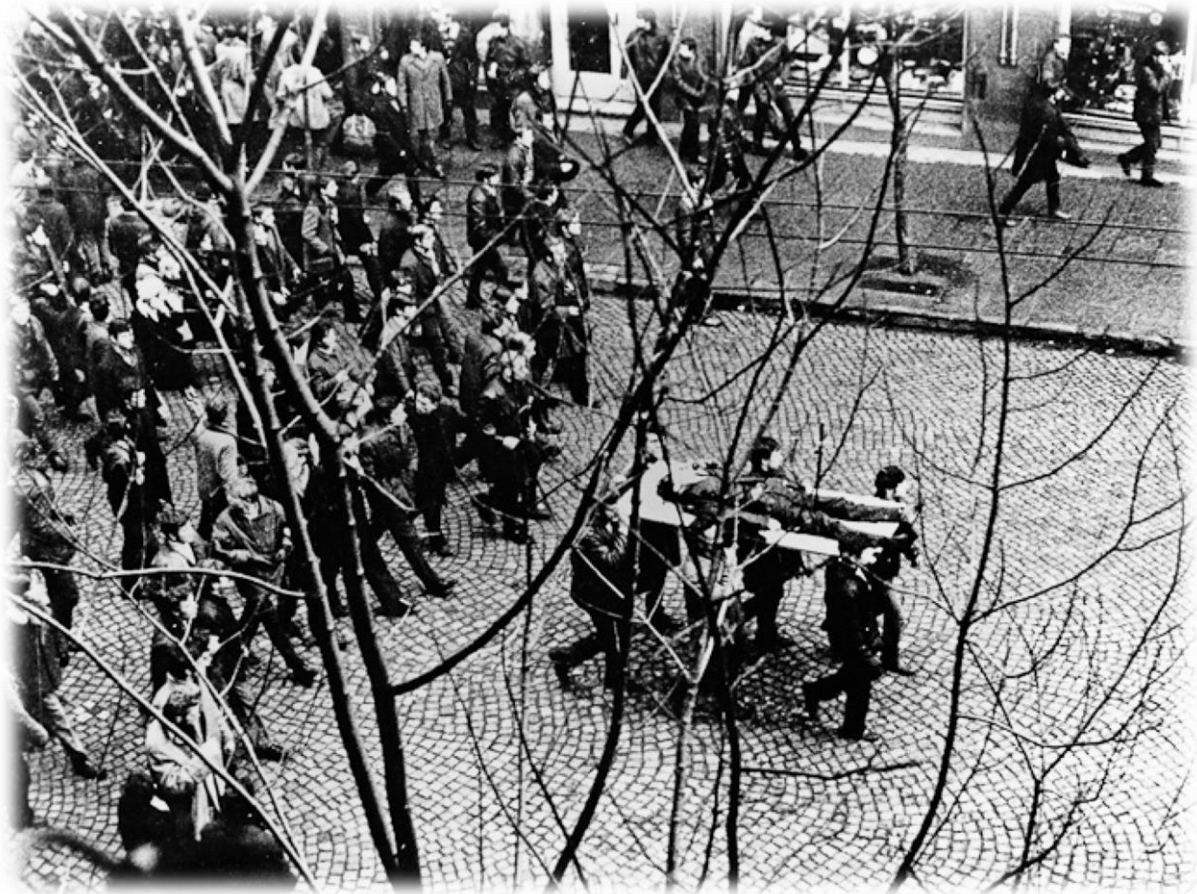
wyprodukowały około 120 polskich bombowców. Po agresji niemieckiej na II Rzeczpospolitą około 17 z nich pokonało drogę powietrzną na lotnisko koło Brześcia nad Bugiem, gdzie wmontowano w nie niezbędne uzbrojenie. Pozostałe „Łosie” znajdowały się na stanie X i XV Dywizjonu Bombowego, nie odgrywając jednak większej roli w działaniach kampanii wrześniowej. Mimo wszystko należy nadmienić, że samoloty PZL-37 „Łoś”, zakupione uprzednio przez Rumunię, wzięły udział w późniejszej wojnie tego państwa z ZSRR. Na polach bitew potwierdziły, że są jednymi z najlepszych średnich bombowców swoich czasów.

Fotografia: PZL.37B Łoś, [domena publiczna](#).

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Czarny Czwartek na wybrzeżu



Rozmowa z prof. **Jerzym Eislerem**

Co stało się w grudniu 1970 roku?

W końcu lat sześćdziesiątych ekipa Władysława Gomułki, która sprawowała władzę w Polsce od października 1956 roku, zdecydowała się wreszcie na przeprowadzenie ograniczonej reformy gospodarczej. Widać było gołym okiem, że system staje się coraz bardziej niewydolny ekonomicznie, a dochód narodowy wzrasta w sposób właściwie nieodczuwalny. Płace realne rosły wręcz symbolicznie - o około

1% rocznie. Od pewnego czasu w kierownictwie partyjno-państwowym przygotowywano więc reformę, której jednym z elementów miało być silniejsze uzależnienie wysokości zarobków pracowników od ich wydajności pracy. Częścią tej reformy, którą przygotowywał zespół pod kierunkiem członka Biura Politycznego, sekretarza KC PZPR Bolesława Jaszcuka, była planowana podwyżka cen szeregu artykułów pierwszej potrzeby, w tym także - a może nawet przede wszystkim - żywności.

Nie przewidywano żadnych rekompensat finansowych. Miano za to obniżyć abonamenty radiowo-telewizyjne, podwyższyć dodatki rodzinne dla rodzin o najniższych dochodach, a w przypadku rolników zwiększyć ceny skupu produktów rolnych. Planowano także, że pewne grupy artykułów potanieją. Generalnie jednak tańsze miały być te produkty, które kupuje się rzadko: telewizory, lodówki, pralki i inne artykuły przemysłowe, a poza tym np. pończochy i rajstopy, które były wówczas towarem niemal luksusowym, oraz ubrania z tworzywa sztucznych.

Początkowo podwyżkę cen planowano wprowadzić na przełomie listopada i grudnia 1970 roku, ale I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach Edward Gierek stwierdził, że byłby to bardzo zły prezent dla górników na Barbórkę i trzeba było tę akcję przesunąć na inny termin. Wiadomo było, że podwyżka musi być wprowadzona w nocy z soboty na niedzielę, żeby po zamknięciu sklepów wieczorem można było dokonać w nich remanentów i zmienić ceny. W grę wchodził zatem w praktyce tylko 12 grudnia. Nowe ceny miały obowiązywać od następnego dnia.

Na decyzję o wprowadzeniu właśnie wtedy podwyżki cen, która przecież zawsze w PRL była posunięciem ryzykownym, pewien wpływ mógł mieć sukces polityczny odniesiony na arenie międzynarodowej i dyplomatycznej przez gomułkowskie kierownictwo partyjno-państwowe. Oto bowiem krótko wcześniej, 7 grudnia 1970, został podpisany układ między Republiką Federalną Niemiec a Polską Rzeczpospolitą Ludową o normalizacji stosunków. Dla Gomułki, który przywiązywał ogromną wagę do stosunków polsko-niemieckich, uznanie przez RFN granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej było jednym z najważniejszych momentów w całej jego politycznej karierze. Gomułka przypuszczał, że jest to właściwy moment, by przeprowadzić ową

"operację cenową" - jak oficjalnie nazywano podwyżkę cen. Polska miała wkroczyć 1 stycznia 1971 r. w okres kolejnej pięcioletki już z nowymi cenami. Jednocześnie od kilku miesięcy w Ministerstwie Obrony Narodowej i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych trwały przygotowania "osłonowe" do tej akcji. W milicji i wojsku wstrzymano urlopy, skoncentrowano funkcjonariuszy w komisariatach, wprowadzono całodobowe dyżury. Chodziło o to, żeby nie dać się zaskoczyć ewentualnym protestom.

Bardziej się ich jednak wówczas obawiano, niż naprawdę spodziewano. 13 grudnia ludzie w sklepach oglądali nowe wyższe ceny, krytykowali, krzywili się. Nazajutrz we wczesnych godzinach rannych wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. W zasadzie nikt nie podjął poważnych rozmów z protestującymi robotnikami. Dyrekcja zakładu nie była władna cofnąć podwyżki cen. Nie była również w stanie zagwarantować stoczniowcom podwyżki płac. W tej sytuacji robotnicy domagali się przybycia do stoczni przedstawicieli Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Ponieważ żądanie to nie zostało spełnione, postanowili pochodem skierować się w stronę gmachu KW, od którego bramę numer 2 Stoczni Gdańskiej dzieliła odległość kilkuset metrów. Krótko po jedenastej liczący ponad tysiąc osób pochód wyruszył w stronę KW; po drodze przyłączały się przygodne osoby, w tym wielu młodych ludzi. W tłum od razu także skierowano pięćdziesięciosobową grupę tajnych funkcjonariuszy, którzy mieli prowadzić "działalność dezintegracyjną": robili zdjęcia, mieli poprowadzić pochód w pożądanym przez władzę kierunku i odgrywać rolę szczególnie czynnych manifestantów, a zarazem rejestrować osoby istotnie najaktywniejsze.

Pod gmachem KW robotników nikt nie przyjął. I sekretarz KW PZPR w Gdańsku Alojzy Karkoszka był w Warszawie, gdzie

obradowało VI plenum Komitetu Centralnego. Ciekawe, że przez cały dzień obrad członków KC nie poinformowano oficjalnie o strajku i manifestacji ulicznej w Gdańsku ani o ulicznych starciach po południu. Oczywiście nie znaczy to, że członkowie KC o tym nie wiedzieli. W przerwie obiadowej, w kularach wymieniano plotki, informacje napływające z Gdańska.

Ponieważ pod gmachem KW stoczniovcy nic nie wskórali, postanowili przejść pochodem przez Stocznnię, zbierając pracowników innych zakładów, i udać się do Wrzeszcza, na teren Politechniki, aby namówić tam studentów do przyłączenia się do protestu, oraz do lokalnej rozgłośni Polskiego Radia i nadać - jak mówili - "na kraj" informację o swoim proteście i żądaniach. Robotniczy pochód przemieszczał się ulicami Gdańska między jedenastą a szesnastą, nieniekpokojony przez milicję i funkcjonariuszy ORMO, nie dokonując żadnych rabunków, zniszczeń, grabieży, podpaleń. Dopiero krótko przed szesnastą wracający pod budynek Komitetu Wojewódzkiego pochód został zaatakowany granatami łzawiącymi i petardami przez funkcjonariuszy milicji. Doszło do gwałtownych starć ulicznych, które skończyły się w późnych godzinach wieczornych. Tego dnia "siły porządkowe" nie używały jeszcze broni palnej - w każdym razie nie było ofiar śmiertelnych ani osób z ranami postrzałowymi. Tłum bezskutecznie próbował podpalić gmach Komitetu Wojewódzkiego. Podpalono natomiast kilka milicyjnych pojazdów, byli także pierwsi ranni oraz zatrzymani przez milicję.

Następnego dnia, we wtorek 15 grudnia, nastąpiła eskalacja konfliktu. Od rana stoczniovcy pochodem skierowali się pod gmach Komendy Wojewódzkiej MO, gdzie - jak sądzili - znajdować się mieli ich koledzy zatrzymani poprzedniego dnia. Pod budynkiem komendy oddano pierwsze strzały i tam też padły pierwsze zabite

osoby. Walka przybrała dużo bardziej gwałtowny i krwawy charakter niż w poniedziałek. Tym razem demonstrantom udało się podpalić budynek KW PZPR. Nie dopuszczono nawet straży pożarnej do gaszenia pożaru, co spowodowało, że gmach, przewany wówczas przez gdańszczan Reichstagem, do godzin wieczornych cały się wypalił. W wielu punktach miasta dochodziło do krwawych starć, byli zabici i ranni. Sprowadzono wojsko z ciężką bronią.

O dziewiątej rano u Gomułki odbyła się narada, w której uczestniczyli między innymi premier Józef Cyrankiewicz, przewodniczący Rady Państwa marszałek Marian Spychalski i kilka innych osobistości, w tym ministrowie: obrony narodowej Wojciech Jaruzelski i spraw wewnętrznych Kazimierz Świtała. Zapadła decyzja o wprowadzeniu do miasta dużych sił wojskowych, o przeceniu samolotami wojskowymi słuchaczy szkół milicyjnych z głębi kraju. Konflikt nabierał nowej dynamiki.

Tego samego dnia zastrajkowała także Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Tam wydarzenia przybrały odmienny charakter: nie było rabunków, gwałtów, podpaleń. Demonstranci udali się pochodem pod gmach Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, gdzie jej przewodniczący, Jan Mariański, przyjął delegację, którą robotnicy wyłonili spośród siebie. Doszło tam do podpisania porozumienia pomiędzy strajkującymi robotnikami a Mariańskim. Główny Komitet Strajkowy miasta Gdyni został przez niego uznany i otrzymał prawo działania w Morskim Domu Kultury, gdzie się po południu ulokował. Pisano tam ulotki, plakaty, komunikaty. Późnym wieczorem do tegoż Domu Marynarza wkroczyli umundurowani funkcjonariusze milicji. Brutalnie pobili członków Komitetu Strajkowego, aresztowali ich i wywieźli do więzień. Następnego dnia, czyli w środę 16 grudnia, w Gdyni nadal

panował spokój. Strajk miał charakter okupacyjny i prowadzony był na terenie Stoczni im. Komuny Paryskiej oraz w innych zakładach przemysłowych.

Tymczasem w Gdańsku 15 grudnia - jak już wspomniałem - doszło do gwałtownych walk ulicznych. Próbowano wznosić barykady, rzucono butelkami z benzyną, wojsko zaś miało amunicję i używało broni palnej. Zginęło kilka osób, około pięciuset zostało zatrzymanych. Następnego dnia protestujący postanowili znów wyjść ze Stoczni im. Lenina, ale w nocy została ona obstawiona przez milicję i wojsko. Kiedy więc robotnicy spróbowali ponownie pochodem wyjść w stronę KW, padły strzały. Dwóch stoczniowców zostało zabitych przy bramie numer 2 - tam, gdzie dzisiaj wznosi się pomnik, jedenastu zostało rannych. Proklamowano strajk. W stoczni powstał Komitet Strajkowy, w którego skład wchodził między innymi późniejszy przywódca "Solidarności" Lech Wałęsa.

W tym momencie w Gdańsku w praktyce kończą się krwawe zajścia - więcej już tutaj nie strzelano. Można było nawet sądzić, że strajk powoli wygasa. Jednak fala buntu w drugiej połowie tygodnia przeniosła się do innych miast. Do tej pory strajkowano w Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Słupsku. W następnych dniach rozpoczęły się strajki, a nawet uliczne demonstracje w głębi kraju, na przykład w Krakowie czy Wałbrzychu. Do największej tragedii doszło jednak 17 grudnia w Gdyni.

Dość często wszystko to, co się wydarzyło w Grudniu, określane bywa mianem masakry. Myślę, że w przypadku Gdańska, z wyjątkiem może ranka 16 grudnia, i Szczecina, z wyjątkiem poranka 18 grudnia, lepiej jest mówić o gwałtownych walkach ulicznych. Do prawdziwej masakry natomiast doszło właśnie w Gdyni. Tam wcześniej nie spłonął żaden budynek, nic nie zniszczono, ani nie zdemolowano. Jednak to właśnie w Gdyni

było najwięcej zabitych. Według oficjalnych danych, w ciągu jednego dnia - 17 grudnia - zastrzelono tam na ulicach 18 osób. Wieczorem poprzedniego dnia wicepremier i zarazem członek Biura Politycznego Stanisław Kociołek przemawiając w lokalnej telewizji wezwał ludzi, aby rankiem stawili się w pracy. W odpowiedzi na ten apel tysiące ludzi wyruszyło do pracy. Na stację kolejową Gdynia Stocznia, na której wysiadali w drodze do pracy nie tylko w stoczni, ale i w porcie, przybywały kolejne pociągi pełne ludzi. Droga do portu i Stoczni im. Komuny Paryskiej była zablokowana przez wojsko i milicję. W porannej szarówce, około szóstej rano, ludzie idący do pracy zostali ostrzelani przez wojsko i milicję. Rozgorzały gwałtowne walki, po mieście krążyły samochody, z których wyrzucano granaty łzawiące i petardy, rzucono je również z krążących nad miastem śmigłowców. Według niektórych przekazów, strzelano z nich także do manifestantów. W mieście uformowało się kilka pochodów - prawdopodobnie trzy lub może nawet cztery - na których czele na drzwiach niesiono zabitych młodych ludzi.

Ich symbolem stał się Janek Wiśniewski - postać, która miała kilka pierwowzorów w prawdziwych ofiarach Grudnia '70. Autor ballady wybrał najpopularniejsze imię i jedno z najpopularniejszych polskich nazwisk, kreując coś na kształt Nieznanego Żołnierza. Janek Wiśniewski, którego imię nosi dziś w Gdyni jedna z ulic, jest postacią symboliczną. Stał się bodaj najślawniejszym symbolem Grudnia, przynajmniej w odniesieniu do Gdyni. Walki uliczne w tym mieście trwały tylko jeden dzień, ale były szczególnie krwawe. Miasto zostało okrutnie spacyfikowane. W tym samym gmachu, w którym dwa dni wcześniej Jan Mariański podpisywał ze strajkującymi porozumienie, milicja urządziła prawdziwą katownię, gdzie z niezwykłą brutalnością katowano zatrzymanych ludzi.

Tego samego dnia, 17 grudnia, bunt społeczny rozszerzył się na Pomorze Zachodnie. Do najgwałtowniejszych walk doszło w Szczecinie, gdzie spłonął Komitet Wojewódzki PZPR, podpalono Komendę Wojewódzką Milicji Obywatelskiej i usiłowano podpalić prokuraturę. W wielu miejscach toczyły się gwałtowne walki uliczne. W mieście proklamowano strajk. 18 grudnia rano pochód wychodzący ze Stoczni im. Adolfa Warskiego został ostrzelany przez wojsko. Dwie osoby zostały zabite, kilka innych odniosło rany postrzałowe. W stoczni, która stała się głównym ośrodkiem protestu, uformował się Ogólnomiejski Komitet Strajkowy, który w szczytowym okresie strajku, czyli 19-20 grudnia, skupiał blisko 120 zakładów aglomeracji szczecińskiej.

19 grudnia rano przestała kursować komunikacja miejska. Po południu za zgodą Ogólnomiejskiego Komitetu Strajkowego tramwaje i autobusy wyjechały, obwieszane transparentami "Strajk trwa", "Popieramy stoczniowców" itd. Przedstawiciele władz miejskich i wojewódzkich podjęli rozmowy z przedstawicielami OKS. Pierwszym postulatem była możliwość tworzenia niezależnych związków zawodowych. Tym razem, inaczej niż dziesięć lat później, stoczniowcy od tego postulatu odstąpili, dali się wymanewrować przedstawicielom lokalnych władz. Istotną rolę odegrała w tym wypadku informacja, którą przekazano Ogólnomiejskiemu Komitetowi Strajkowemu w czasie negocjacji w niedzielę 20 grudnia, że Władysław Gomułka ustąpi z funkcji I sekretarza KC PZPR, a za kilka godzin zastąpi go na tym stanowisku dotychczasowy I sekretarz KW w Katowicach, Edward Gierek.

Po południu 20 grudnia rzeczywiście obradowało VII plenum Komitetu Centralnego. Był właściwie tylko jeden

punkt programu - zmiana na stanowisku I sekretarza KC. Dążono do tego, by skończyć przed godziną 19.30, aby Gierek mógł wystąpić w Dzienniku Telewizyjnym ze skierowanym do społeczeństwa uspokajającym przemówieniem. Zmiana na stanowisku I sekretarza kończyła najbardziej gwałtowną, krwawą fazę kryzysu. Zginęło i zmarło z odniesionych ran co najmniej 45 osób, a ponad 1160 było rannych.

Jednak zmiana na czele PZPR nie oznaczała końca kryzysu. Mało kto dziś pamięta, że strajk w Stoczni im. Warskiego zakończono ostatecznie dopiero przed południem 22 grudnia. Zresztą w styczniu robotnicy szczecińscy zastrajkowali ponownie. Wymusili przyjazd nowego kierownictwa partii z Edwardem Gierkiem na czele. Potem Gierek z Jaroszewiczem złożyli również wizytę w Gdańsku. Tam padły sławne słowa "Pomożecie?" I, wbrew temu co się utarło, wcale nie padła chóralna odpowiedź stoczniowców "Pomożemy!". To propaganda dopisała tę odpowiedź! Była ona potrzebna pogrudniowemu kierownictwu jako rodzaj legitymizacji. Tragedia na Wybrzeżu była jednym z najważniejszych i zarazem jednym z najbardziej ponurych wydarzeń w całej historii PRL. W wymiarze prawnym pozostaje nierozliczona do dziś. Natomiast pozostaje bardzo żywa w pamięci mieszkańców Trójmiasta, Elbląga i Szczecina.

Na samym wybrzeżu władze PZPR rzuciły przeciw protestującym 550 czołgów i 700 transporterów. Do walki ruszyło 5000 milicjantów i 27000 żołnierzy, a całą akcję nadzorował osobiście wiceminister MON Grzegorz Korczyński. Dlaczego zdecydowano się na użycie tak niewspółmiernych środków przeciwko cywilom?

Trzeba do tego jeszcze dodać kilka tysięcy funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, ORMO oraz Straży Więziennej i Straży

Pożarnej, którzy byli wykorzystywani do pacyfikowania ulicznych demonstracji. Taki sposób działania władzy był praktycznie wpisany w tamten system. Po prostu nie było kanałów przepływu informacji, a poza tym u decydentów nie było świadomości konieczności podejmowania dialogu, konsultacji, prowadzenia rzeczywistych rozmów z ludźmi pracy. Przedstawiciele tamtej władzy nie potrafili rozmawiać z robotnikami, chociaż partia nazywała się - jak wiadomo - "Robotnicza". W takiej sytuacji nie pozostawało praktycznie nic innego oprócz rozwiązywania głębokiego kryzysu politycznego i społecznego przy użyciu siły.

Część działaczy partyjnych i państwowych, zamiast zastanawiać się, jak środkami politycznymi rozwiązać poważny kryzys, zachowywała się tak jak dowódcy wojskowi planujący działania bojowe. Domagali się, aby wprowadzać do akcji kolejne jednostki wojska, kierować przeciwko protestującym dodatkowe oddziały milicji. Człowiek numer dwa w partii, Zenon Kliszko, zachowywał się chwilami tak jakby dowodził działaniami na froncie.

Poza tym Gomułka przez niektórych współtowarzyszy był skutecznie wprowadzany w błąd. Sprawozdania fałszowano prawdopodobnie w MSW. Gdy 15 grudnia rano podejmował decyzję o użyciu wojska, miał na biurku informację, że poprzedniego dnia zginęło dwóch milicjantów, a około stu pięćdziesięciu zostało rannych. Tymczasem - jak już wspominałem - 14 grudnia nie zginął żaden milicjant ani żaden z demonstrantów. Dwóch milicjantów zginęło w sumie, we wszystkich starciach ulicznych, przez cały tydzień. Ktoś podsunął Gomułce taki dramatyczny, krwawy scenariusz: oto chuligani rabują sklepy, podpalają obiekty użyteczności publicznej, zabijają milicjantów, trzeba przeciwko nim wysłać

wojsko i wyrazić zgodę na użycie broni palnej.

Czy można powiedzieć, że ta tragiczna decyzja była wynikiem konfliktów wewnątrzpartyjnych? Czy próbowano sprowokować Gomułkę, aby odsunąć go od władzy?

Nie da się udowodnić, że cały kryzys grudniowy został sprowokowany po to, żeby obalić Gomułkę. Nie ulega jednak wątpliwości, że kiedy doszło już do strajków, demonstracji, starć na ulicach - część działaczy partyjnych i państwowych, oczywiście w jak największej tajemnicy, podjęła działania, które noszą wszelkie znamiona politycznego puczu. Wiemy dziś, że także w Moskwie już 16 grudnia po południu, a więc w przeddzień najbardziej krwawych starć w Gdyni i w Szczecinie, Leonid Breżniew pytał współtowarzyszy, kogo by widzieli na czele PZPR, gdyby zaszła potrzeba zmiany na stanowisku I sekretarza. Zastrzegając jednocześnie, że potrzeby takiej na razie nie widzi. I sam sobie odpowiadał przy milczącej aprobacie współtowarzyszy - naszym kandydatem jest Edward Gierek. Miało to miejsce kilka dni przed objęciem przez Gierka funkcji I sekretarza KC i kilkanaście godzin przed najbardziej krwawymi zajściami w Gdyni i w Szczecinie.

Gdy 29 grudnia na posiedzeniu Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego, jeden z jej członków, Janusz Warchoń, zapytał, czy dokonana zostanie ocena zaistniałych w drugiej połowie grudnia wypadków, otrzymał odpowiedź przeczącą. Zdaniem przewodniczącego obrad, oceny takiej można by dokonać dopiero, gdy uczynią to instancje partyjne. Jak zatem wyglądała owa ocena? O czym mówiły raporty Jana Szydłaka i Władysława Kruczka i co się z nimi stało?

Przez następne lata, aż do końca istnienia PRL, wszystkie komisje partyjne -

najpierw ta, którą kierował Jan Szydłak, potem ta Władysława Kruczka i wreszcie, w latach osiemdziesiątych komisja, na której czele stanął członek Biura Politycznego i sekretarz KC Hieronim Kubiak - miały wyjaśnić tyle, ile w danym momencie było można bez wystawiania na szwank autorytetu aktualnego kierownictwa partyjnego. Chodziło generalnie o to, żeby ludzi, którzy związali się z Gierkiem i wchodzili w skład "nowego kierownictwa", nie pociągać do odpowiedzialności za niefortunną podwyżkę cen i wszystkie późniejsze decyzje. Całą winę zrzucano więc na Gomułkę i tych jego najbliższych współpracowników, którzy zostali odwołani z zajmowanych stanowisk. Dlatego wszystkie te sprawozdania i raporty są kłamliwe. Nikt nawet tego nie weryfikuje.

Podam jeden przykład: w poniedziałek 14 grudnia wiceminister spraw wewnętrznych Henryk Słabczyk leciał samolotem do Gdańska. Pół roku później zeznając przed komisją Kruczka wspominał, że prosił pilota, żeby zrobił kółko nad miastem. Mówił, że nigdy nie zapomni widoku płonącego budynku Komitetu Wojewódzkiego, porozbijanych tramwajów, tłumów na ulicy. Rzecz w tym, że 14 grudnia o 14.30, kiedy leciał nad Gdańskiem, nic się jeszcze nie paliło, więcej - nie wybito wtedy jeszcze ani jednej szyby. Nikt tego oczywiście nie zakwestionował. To, co opowiadał Słabczyk, zostało zaprotokołowane, by pokazać, że niepopularne decyzje władz były uzasadnione, że w sposób drastyczny reagowano wyłącznie na przejawy wandalizmu, niszczenia, podpalania, ataki na milicjantów i żołnierzy. W rzeczywistości kolejność zdarzeń była odwrotna.

Jaka była reakcja zachodnich społeczeństw na wydarzenia w Polsce? W jaki sposób wiadomość o nich wydostała się poza granice?

15 grudnia do późnych godzin wieczornych nikt w głębi kraju ani tym bardziej za granicą nie wiedział o tym, co się dzieje na polskim Wybrzeżu. Przypadek sprawił, że wieczorem, z powodu złych warunków atmosferycznych, nasłuch Radia Wolna Europa nastawił odbiór nie na rozgłoszenie Polskiego Radia z Wrocławia, ale na rozgłoszenie gdańską. Nagle przez trzaski zaczęły się przebijać informacje o godzinie milicyjnej w Gdańsku, o aresztowaniach i starciach ulicznych. Jan Nowak Jeziorański, ówczesny dyrektor Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa, wspominał później, że w ostatniej chwili, tuż przed północą, gdy Wolna Europa kończyła audycję w języku polskim, spikerowi podsunęto kartkę z informacją o protestach w Gdańsku. Wtedy właśnie, tuż przed północą 15 grudnia, wiadomość o tych wydarzeniach poszła w eter i dowiedział się o nich cały świat. Od następnego dnia informacje o wydarzeniach na Wybrzeżu zaczęły pojawiać się w prasie ogólnopolskiej.

Jeden z uczestników tych wydarzeń powiedział: "tam, na Wybrzeżu, urodziła się pierwsza Solidarność, ludzie czuli, że to wspólny kraj i jeden naród". Na ile takie stwierdzenie jest uzasadnione? Jakie przesłanie niosły te wydarzenia dla robotników i całego społeczeństwa?

Najwięcej mówimy o Gdańsku, choć tam relatywnie najmniej się wydarzyło. O miejscach, w których wydarzyło się więcej, nasza wiedza jest skromniejsza. Najmniej wiemy o Szczecinie, a tam przecież zdarzyło się najwięcej. Ten fakt dobrze oddają liczby. Wystarczy powiedzieć, że o ile straty ekonomiczne w Gdańsku, Gdyni i Elblągu oszacowano na sto pięć milionów ówczesnych złotych, to w samym Szczecinie sięgnęły one trzystu milionów. Trudno o lepsze pokazanie skali. Ale jednak to nie skala walk i wysokość strat są w tym wypadku

najważniejsze - ale powstanie w Szczecinie Ogólnomięjskiego Komitetu Strajkowego. Wyłącznie na jego polecenie funkcjonowały te zakłady, których praca była miastu niezbędna: gazociągi, wodociągi, elektrownia, elektrociepłownia, komunikacja miejska, służba zdrowia. W nocy z 19 na 20 grudnia do Stoczni im. Warskiego przyszli dziennikarze z roboczym wydrukiem "Kuriera Szczecińskiego" z datą 20 grudnia, pytając, czy mogą opublikować komunikat, który jest na pierwszej stronie. Był to jedyny taki przypadek w historii PRL. Komunikat był bardzo wyważony, zupełnie niespotykany w prasie peerelowskiej. Informowano w nim, że w stoczni panuje spokój, że robotnicy utrzymują porządek, że nie ma żadnych zniszczeń. Oficjalna propaganda trąbiła tymczasem o tym, że za protestami kryją się elementy chuligańskie, przestępcze.

W procesie Grudnia '70 oskarżono 12 osób, między innymi generała Wojciecha Jaruzelskiego, Stanisława Kociołka, Kazimierza Świata. Pierwszym osobom zarzuty zostały postawione jeszcze w roku 1990. Dlaczego, mimo że upłynęło już ponad 35 lat, nie osądzono odpowiedzialnych za tamte wydarzenia?

Uważam, że jest to proces w dużym stopniu polityczny. Nie widzę na ławie oskarżonych ani jednego funkcjonariusza MSW. Wojsko strzelało w grudniu 1970 roku w określonych miejscach, było kilka takich przypadków - zawsze w zwartych pododdziałach i na rozkaz. To jest dość dobrze udokumentowane. Natomiast funkcjonariusze, którzy podlegli MSW, strzelali w praktyce według własnego uznania. Przyjęto zasadę, że każdy funkcjonariusz decyzję o użyciu broni palnej podejmuje samodzielnie, niejednokrotnie w stanie stresu i w skrajnym napięciu. W ciągu tych kilku dni starć wojsko wystrzeliło około 46 tysięcy

pocisków. Nie wiemy natomiast, ile pocisków wystrzelili funkcjonariusze milicji, Służby Bezpieczeństwa i innych służb podległych MSW.

Gdyby naprawdę chodziło o sprawiedliwość, przeprowadzenie procesu nie powinno przysparzać tyle kłopotów - żyje wszak jeszcze kilku ówczesnych wysokich funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych, łącznie z szefami wojewódzkich komend na Wybrzeżu. Nie mam pewności, czy żyją nadal, ale z pewnością żyli, gdy rozpoczynał się ten proces między innymi minister spraw wewnętrznych Kazimierz Świata oraz komendant główny Milicji Obywatelskiej gen. Tadeusz Pietrzak. Wojciech Jaruzelski był w tamtym okresie w establishmencie człowiekiem numer 20, może 25. To w stanie wojennym był członkiem numer 1 i ponosił pełną odpowiedzialność za wszystko, co się tu wydarzyło w grudniu 1981 roku. Ale jedenaście lat wcześniej Jaruzelski był zaledwie od dwóch i pół roku ministrem obrony narodowej, młodym generałem, nie zasiadał jeszcze w Biurze Politycznym. Dopiero miał zostać zastępcą członka Biura Politycznego. Aktualnie gen. Jaruzelski jest po prostu jedną z najważniejszych żyjących jeszcze osób, odpowiedzialnych za ówczesne decyzje i zamieszanych w tamte wydarzenia. Wydaje się, że na podobnej zasadzie znalazł się na ławie oskarżonych ówczesny wicepremier Stanisław Kociołek. Nie chcę przez to rzecz jasna powiedzieć, że nie ponosi on żadnej winy. Jednak ograniczanie się wyłącznie do wojskowych - Kociołek jest jedynym cywilem w tym gronie - i to tylko niektórych oraz liczne zabiegi towarzyszące temu procesowi - to wszystko sprawia, że patrzę na niego z pewną rezerwą i dość sceptycznie odnoszę się do myśli, iż zakończy się on prawomocnym wyrokiem.

Prof. Jerzy Eisler - historyk, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie,

zajmuje się historią powojenną Polski, znawca najnowszych dziejów Francji, autor m.in. książek: *Zarys dziejów politycznych Polski 1944-1989* (1992); *Grudzień 1970. Geneza - przebieg - konsekwencje* (2000); *Polski rok 1968* (2006).

K. G.

Fotografia: ciało legendarnego Janka Wiśniewskiego (Zbyszka Godlewskiego) niesione przez demonstrantów, Wikimedia Commons, domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



wykrywacze metali
PEN ELEKTRONIK
GWARANCJA SUKCESU
SOLFERNUS

dzwoń już teraz
504 458 599
58 551 42 98

www.wykrywacze.com.pl
wykrywacze@wykrywacze.com.pl

Austro-Węgry 8x50 R Mannlicher



Producent: Maschinen -und
Waggonbaufabrik A.G., Wiedeń Simmering.
Wyprodukowano w kwietniu 1889 roku.
Kropka wybita na dnie łuski oznacza
powtórny elaborację.



Producent: Berndorfer Metallwarenfabrik,
Berndorf. Wyprodukowano w maju 1911
roku.



Producent: Georg Roth, Wiedeń.
Wyprodukowano we wrześniu 1914 roku.



Producent: Keller & Company, Hirtenberg.
Wyprodukowano w maju 1903 roku. Kropka
wybita na dnie łuski oznacza powtórny
elaborację.



Producent: Hirtenberger Patronen -
Züdhütchen und Metallwarenfabrik,
Hirtenberg. Wyprodukowano w maju 1911
roku.



Producent: Hirtenberger Patronen -
Züdhütchen und Metallwarenfabrik,
Hirtenberg. Nabój izbowy.



Producent: Manfred Weiss, Budapeszt.
Wyprodukowano w listopadzie 1911 roku.



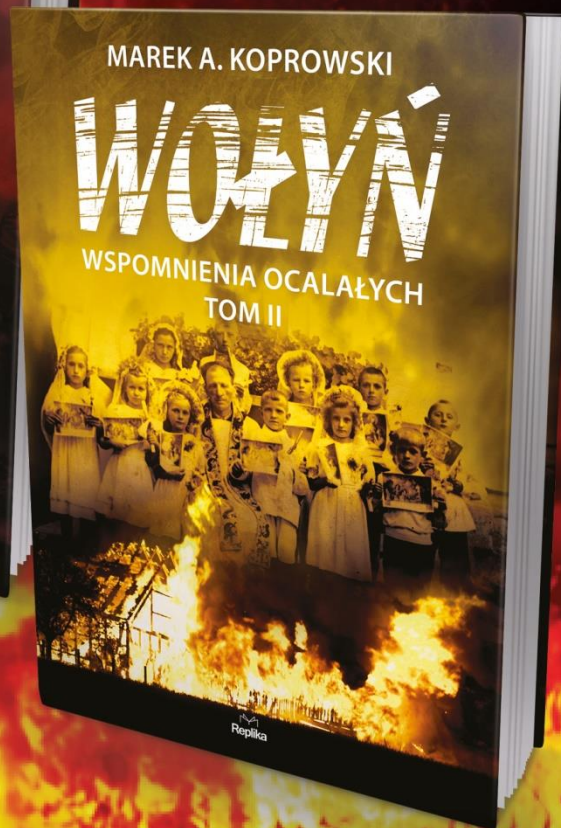
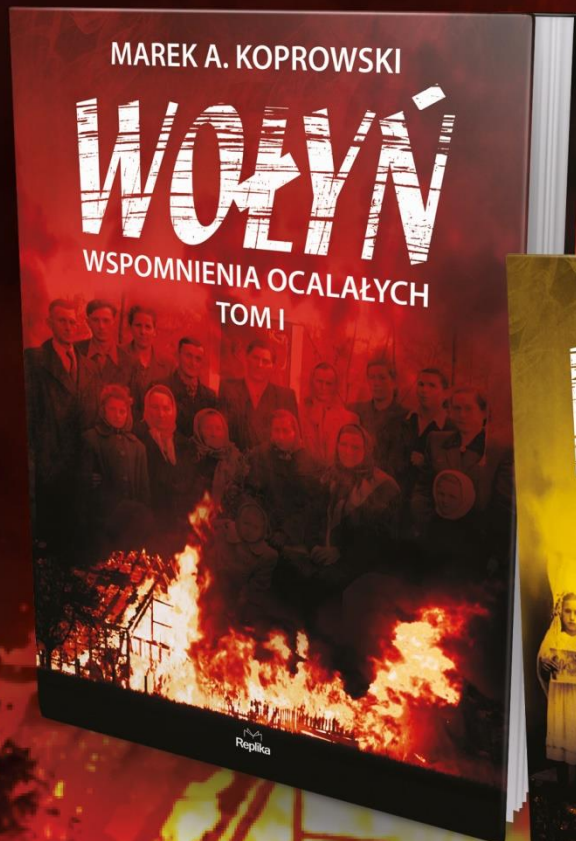
Producent: Sellier-Bellot, Praga (do 1918
roku). Wyprodukowano w styczniu 1918
roku.



Producent: Artilleriezeugsfabrik Wiedeń.
Wyprodukowano w maju 1899 roku. Kropka
wybita na dnie łuski oznacza powtórny
elaborację.

JARO

WOŁYŃ



**RELACJE OSTATNICH ŚWIADKÓW
OKRUTNEJ HISTORII**

Polacy po raz pierwszy łamią szyfr Enigmy

31 grudnia 1932 roku Polacy po raz pierwszy złamali szyfr *Enigmy* – niemieckiej maszyny szyfrującej. Próby złamania szyfru niemieckiej maszyny sięgały końca lat 20. W pierwszej kolejności zaproszono do współpracy lingwistów, jednak ich praca nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, wówczas podjęto decyzję o zatrudnieniu profesjonalnych matematyków.

Od 1 września 1932 r. powołano *Biuro Szyfrów Sztabu Głównego Wojska Polskiego*. Wraz z trzema najzdolniejszymi absolwentami Uniwersytetu Poznańskiego: Marianem Rejewskim, Jerzym Różyckim i Henrykiem Zygalskim zaczęto pracować nad *Enigmą*. Zachodnie kraje zaniechały prób rozwiązania algorytmu niemieckiej maszyny. Francuzi mieli szpiega w Niemczech, który przekazywał kody dzienne lub aktualne nastawy tarcz *Enigmy*. Przekazywał on Polakom zdobytą dokumentację, której sami Francuzi nie potrafili wykorzystać. Złamania szyfru dokonał zespół trzech poznańskich matematyków z Marianem Rejewskim na czele, któremu udało się odszyfrować pierwszą depeszę. Od tego momentu Polacy mogli odbierać ściśle tajną niemiecką korespondencję wojskową.



Nie było to jednak łatwe przez ciągłe udoskonalanie sposobów szyfrowania. Odszyfrowanie depeszy z *Enigmy* wymagało dużych mocy obliczeniowych – w tym celu zespół matematyków skonstruował specjalne maszyny zwane „bombami Rejewskiego”. Jednak w 1939 r. Polacy musieli skapitulować. Po kolejnych modyfikacjach w działaniu niemieckiej *Enigmy* ilość niezbędnych obliczeń przerosła ich możliwości. Głównym powodem był brak funduszy potrzebnych na skonstruowanie i „zakwaterowanie” odpowiedniej ilości „bomb”, niezbędnych do rozszyfrowania kodów w wystarczająco szybkim czasie.

Podczas II wojny światowej maszyna deszyfrująca została przekazana Anglikom, którzy na wykorzystując wiedzę Polaków skonstruowali własne maszyny do deszyfracji *Enigmy*. Przez wiele lat Anglicy starali się przypisać sobie osiągnięcia łamania szyfru. Przyznanie przez Brytyjczyków znaczącej roli polskiego zespołu do rozszyfrowania kodu nastąpiło dopiero w latach 90. Wielkie dokonanie Polaków przyczyniło się szybszej likwidacji niemieckiej marynarki, a tym samym uratowania wielu istnień.

Ryszard Kaczorowski przekazuje insygnia władzy



Z prof. dr. hab. **Andrzejem Friszkiem**
rozmawia Adam Tycner

Jakie cele postawił przed sobą Rząd RP na wychodźstwie po II wojnie światowej?

Cele, które realizował Rząd na wychodźstwie, wynikały przede wszystkim z tego, iż pełnił on funkcje ośrodka życia politycznego, społecznego, a także kulturalnego. Sprzyjał więc działaniu polskiej powojennej emigracji, a także wspomagał różne formy jej aktywności. Podstawowym zadaniem

rządu było dążenie, w ramach współpracy z Zachodem, do odzyskania przez Polskę pełnej niepodległości, a więc wydobycia kraju ze stanu uzależnienia od ZSRR. W tym celu podejmowano działania informacyjne i dyplomatyczne wobec zachodnich rządów i opinii publicznej. Działalność ta miała zmienną, ale w sumie ograniczoną skuteczność, gdyż powojenny podział świata był stabilny i Zachód nie zamierzał ryzykować poważnych konfliktów dla zmiany stanu istniejącego w Europie Wschodniej.

Poza tym wokół Rządu RP tworzyły się struktury, które miały własne kierunki działania, związane na przykład z powojenną samoorganizacją polskich żołnierzy, pochodzących głównie z armii Andersa, oraz z pomocą społeczną dla uchodźców, których najwięcej było w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Emigracja stanowiła ogromną potencjalną siłę, którą należało zorganizować, dlatego też, szczególnie w latach 1946-1947, wysiłek Rządu zmierzał w kierunku zapewnienia polskiej ludności opieki społecznej, utrzymania kontaktu z rozproszonym wychodźstwem, a także dostarczania mu informacji. Z tą działalnością związane były problemy prawne, materialne i oświatowe, stąd współpraca z licznymi organizacjami polskimi i międzynarodowymi, zajmującymi się problemami uchodźców. W latach późniejszych podstawową strukturą łączącą ośrodki skupienia emigracji w różnych krajach był Skarb Narodowy, z ekspozyturami w wielu państwach. Polacy płacili datki, które tworzyły najważniejszą część budżetu rządu RP i umożliwiały finansowanie ważnych celów społecznych.

Czy rząd na wychodźstwie miał wpływ na sprawy w kraju?

Z pewnością podejmował takie próby, jednak podziały wśród polskich polityków uniemożliwiły im faktyczną i zdecydowaną ingerencję w politykę krajową. W latach 1945-1947 opozycję krajową stanowiło PSL na czele ze Stanisławem Mikołajczykiem. Jego koncepcja usunięcia komunistycznej dyktatury w Polsce opierała się na wykorzystaniu postanowień jałtańskich, zapowiadających zorganizowanie w kraju wolnych wyborów, a to oznaczało przyjęcie decyzji Jałty i uznanie rządu w Warszawie, co spotkało się z krytyką Rządu emigracyjnego. Od końca 1944 roku premierem Rządu RP na wychodźstwie był socjalista Tomasz Arciszewski, który definitywnie odrzucił

ustalenia z Krymu. Z drugiej strony, Rząd wyraźnie dążył do tego, aby w kraju doszło do wygaszenia walki zbrojnej. Wydał kilkakrotnie odezwy i instrukcje, apelując do społeczeństwa o zaprzestanie walki zbrojnej, która nie może mieć szansy skuteczności. To stanowisko określało stosunek do podziemnych organizacji - WiN czy Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. W Londynie liczone, że problem Polski zostanie rozwiązany w wyniku międzynarodowych zmian i nacisków, brano też pod uwagę możliwość wojny Zachodu ze Związkiem Sowieckim. W instrukcjach dla kraju Rząd RP na wychodźstwie zakazywał polskim obywatelom uczestnictwa w organizacjach wspierających reżim komunistyczny, a zwłaszcza stosujących represje wobec obywateli. Zachęcał natomiast do działań konstruktywnych, które miały służyć odbudowie kraju, ochronie ludności, tworzeniu kultury i rozwojowi życia ekonomicznego.

Czy w późniejszych latach, począwszy od poznańskiego Czerwca, Rząd polski aktywnie uczestniczył w wydarzeniach w kraju?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy najpierw zastanowić się, co oznaczało pojęcie "rząd". Możemy wskazać kilka cezur, które wyznaczają kolejne etapy rozkładu struktur rządu polskiego na obczyźnie. Pierwsze przełomowe wydarzenie miało miejsce w 1947 roku. Potoczył się wtedy spór wokół objęcia prezydentury przez Augusta Zaleskiego i PPS odmówiła uznania Zaleskiego oraz poparcia dla jego rządu. Dwa lata później, w 1949 roku, doszło do kolejnego rozłamu, kiedy do opozycji wobec Zaleskiego przeszło Stronnictwo Narodowe. W wyniku współdziałania PPS i SN z dodatkiem powstałej już po wojnie grupy NiD - Niepodległość i Demokracja - powstała w 1949 roku Rada Polityczna. Kiedy w 1954 Zaleski "mimo wcześniejszych zobowiązań" odmówił

ustąpienia, opuścił go gen. Anders z większością kombatantów i piłsudczycy. Wspólnie z ugrupowaniami skupionymi dotąd w Radzie Politycznej podpisali oni akt Zjednoczenia Narodowego i utworzyli Tymczasową Radę Jedności Narodowej - rodzaj parlamentu - która wyłoniła Radę Trzech, kolektywną głowę państwa, i Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego, rząd. Nastąpiło więc skoncentrowanie najważniejszych emigracyjnych sił politycznych wokół Rady Trzech i Egzekutywy, poparcia udzielali im kombatanci, ogromna większość organizacji społecznych, kulturalnych, pism i wydawnictw. Przy Zaleskim i jego rządzie trwała niewielka grupa. I tak pozostało do śmierci Zaleskiego w 1972 roku.

Ponadto trzeba zaznaczyć, że Rada Polityczna, a potem Rada Trzech i Egzekutywa były przez Stany Zjednoczone traktowane jako właściwa reprezentacja emigracji polskiej. Za partnera i rozmówcę uważano też Mikołajczyka, który - przypomnijmy - zbiegł z Polski w 1947 roku i utworzył własny ośrodek polityczny. Zaleski i jego rząd nie miał natomiast istotnych kontaktów politycznych w USA, zwłaszcza po 1954 roku.

Wracając do pytania - na wydarzenia czerwcowe w Poznaniu zareagował przede wszystkim obóz Zjednoczenia Narodowego, ze względu na swoje kontakty i szerokie możliwości działania. Z jego inicjatywy urządzono w Londynie wielką demonstrację, natomiast w Waszyngtonie z licznymi inicjatywami występował Adam Ciołkosz jako przewodniczący Egzekutywy. Po Październiku złożył między innymi memoriał z postulatami zaangażowania USA na rzecz poszerzenia wolności w Polsce i uznania jej granicy zachodniej. Zaleski miał zbyt małe wpływy, aby móc działać z rozmachem na znak solidarności ze strajkującymi w Polsce, nie posiadał też właściwie możliwości dotarcia do obcych

rządów. W ówczesnej polityce europejskiej liczyły się takie organizacje, jak Międzynarodówka Socjalistyczna lub instytucje ruchu na rzecz Zjednoczonej Europy, czy Międzynarodówka chadecka, w których pojawiali się przedstawiciele partii politycznych, ale rząd Zaleskiego nie miał żadnych możliwości dotarcia do nich. Powstały w 1954 roku obóz Zjednoczenia Narodowego stworzył właściwe centrum polityki polskiej na emigracji, również dlatego, że przedkładał w zachodnich stolicach różne memoriały oraz miał nieformalnych, ale cieszących się pewną pozycją osobistą przedstawicieli w Waszyngtonie, Paryżu, Rzymie, no i Londynie.

Czy można wobec tego mówić o oficjalnych kontaktach emigracyjnego rządu polskiego z rządami innych państw europejskich?

Od końca wojny Rząd na obczyźnie utrzymywał z dyplomacją krajów zachodnich kontakty na stopie nieoficjalnej, ponieważ bardziej znaczące państwa uznawały od lipca 1945 roku rząd w Warszawie. Dość długo jednak sprzyjała rządowi emigracyjnemu Hiszpania gen. Franco, ale także Irlandia, Liban oraz Watykan. Państwo Kościelne nie uznawało komunistycznej władzy w Polsce, w związku z tym utrzymywało oficjalne stosunki z Rządem RP na wychodźstwie. Watykan liczył się jednak o wiele bardziej ze zdaniem polskich biskupów niż polityków emigracyjnych. Relacje między Rządem polskim na obczyźnie a państwami nadal go uznającymi nie były rozbudowane. Najważniejsze były relacje ze Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią i Francją. Kontakty ze sferami politycznymi tych krajów miały charakter nieoficjalny, a istniejące możliwości wynikały z autorytetu poszczególnych przedstawicieli emigracji. Taką ważną postacią był Edward Raczyński, ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie od 1934 do 1945 roku oraz minister spraw

zagranicznych w latach 1942-1943. Znał wielu brytyjskich dyplomatów, którzy cenili go ze względu na jego wysoką inteligencję oraz realistyczne podejście. Ambasador dążył przede wszystkim do rozwiązania problemów polskiej emigracji, na przykład zapewnienia zdemobilizowanym żołnierzom i ludności cywilnej dostępu do nauki. Z pewnością jednak także słuchano z uwagą jego opinii politycznych, choć rzecz musiała być poufna i niewiele o tym wiemy.

W Stanach Zjednoczonych sytuacja przedstawiała się inaczej. Amerykanie popierali Mikołajczyka i utrzymywali kontakty z politykami Rady Politycznej, a potem Obozu Zjednoczenia, szczególnie ze Stefanem Korbońskim, a potem Zbigniewem Stypułkowskim, którzy docierali do senatorów, kongresmanów oraz do polityków zajmujących stanowiska na niższych szczeblach Departamentu Stanu. Co ciekawe, niektóre postulaty przez nich zgłaszane nie były sprzeczne z dążeniami rządu warszawskiego po 1956 roku. Szczególnie dotyczyło to zabiegów o uznanie przez USA granicy Polski na Odrze i Nysie, choć oczywiście różne były motywacje. Według dyplomacji emigracyjnej, uznanie granicy na Odrze i Nysie mogło zmienić sytuację geopolityczną Polski i było związane z uzyskaniem przez nią niezależności od Związku Sowieckiego, na przykład przez utworzenie strefy neutralnej w Europie Środkowej. Stawianie wprost w kontaktach z zachodnimi rządami postulatu działań na rzecz odzyskania niepodległości przez Polskę było niemożliwe, ponieważ byłoby uznane za całkowicie nierealistyczne żądanie obalenia skutków podziału jałtańskiego, co na Zachodzie traktowano jako rzecz zamkniętą. W Paryżu przez wiele lat ważnym polskim dyplomatą był Kajetan Morawski, który w czasie wojny reprezentował rząd polski przy gen. de Gaulle'u, a potem był przedstawicielem kolejnych rządów emigracyjnych. W swoich dążeniach wykorzystywał on

znajomości z okresu II wojny światowej, w związku z czym był rozmówcą przyjmowanym na dość wysokich szczeblach. Jego kontakty nie mogły jednak wykroczyć poza sferę nieoficjalną, gdyż Francja uznawała rząd PRL. Morawski spotykał się również z przedstawicielami krajowych środowisk katolickich, którzy przyjeżdżali do Paryża. O swoich rozmowach i uzyskiwanych z różnych stron naświetleniach sytuacji w Polsce informował regularnie Jana Starzewskiego, odpowiedzialnego za sprawy zagraniczne w Egzekutywie Zjednoczenia Narodowego w Londynie.

Podsumowując - kontakty polskiej dyplomacji z rządami krajów zachodnich opierały się na zasadzie nieformalnych kontaktów i przekazywania ocen i naświetleń, które miały zaznajomić zachodnich partnerów z sytuacją w Polsce i polskimi aspiracjami. Było to o tyle trudne, że znaczące państwa Zachodu uznawały rząd warszawski, a realna polityka zagraniczna odbywała się w ich relacjach z PRL.

W jaki sposób ustalano skład rządu? Jaka była jego struktura?

Rząd na wychodźstwie oraz wszystkie ośrodki rządowe czy quasi-rządowe funkcjonowały na podstawie Konstytucji kwietniowej z 1935 roku. Wprowadzała ona ustrój prezydencko-autorytarny. Prezydent mógł na przykład w okresie wojny wskazać swojego następcę. Dzięki temu przepisowi stanowisko głowy państwa objął po Ignacym Mościckim Władysław Raczkiewicz, który powoływał premierów - kolejno gen. Sikorskiego, Mikołajczyka i Arciszewskiego. Ich rządy opierały się na głównych stronnictwach przedwojennych - Stronnictwie Ludowym, PPS, Stronnictwie Narodowym i Stronnictwie Pracy. W rządzie Arciszewskiego nie było SL, gdyż Mikołajczyk, jego przywódca, uznał decyzje jałtańskie i powrócił do kraju.

W swoim politycznym testamencie Raczkiewicz w 1947 roku następcą mianował Augusta Zaleskiego, anulując wcześniejszą nominację dla Arciszewskiego. Nowy rząd gen. Bora-Komorowskiego miał więc oparcie w dwu stronnictwach - SN i SP, ale bardziej liczyło się poparcie kombatantów, organizacji społecznych i w ogóle emigracyjnej opinii. Kłopoty zaczęły się w 1949 roku, wraz z odejściem SN i powstaniem Rady Politycznej. Kolejne rządy opierały się głównie na kombatantach, których największym autorytetem był gen. Anders, i piłsudczykach, także na bezpartyjnych specjalistach z różnych dziedzin.

Prezydent Zaleski po wygaśnięciu siedmioletniej kadencji nie przekazał jednak władzy kolejnemu politykowi, lecz ogłosił, iż będzie sprawować urząd prezydenta dożywotnio. To był bezpośredni powód rozłamu w 1954 roku, o czym mówiłem. Powstała wówczas Tymczasowa Rada Jedności Narodowej uchwaliła w 1956 roku przekazanie prerogatyw prezydenta Radzie Trzech. W jej skład wchodził gen. Anders, Raczyński i Arciszewski, a po jego śmierci gen. Bór-Komorowski. Przy niewielkich zmianach personalnych Rada Trzech funkcjonowała do 1972 roku, Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego otrzymała zaś uprawnienia rządu.

Przedstawicielstwem o charakterze uchwałodawczym, parlamentarnym była Rada Narodowa, po raz pierwszy utworzona w grudniu 1939 roku. Jej członków, którymi powinni być reprezentanci poszczególnych ugrupowań politycznych oraz społecznych, powoływał prezydent. Po rozwiązaniu w 1941 roku pierwszej, kilka miesięcy później powołano drugą Radę Narodową, która przetrwała do 1945 roku. Kolejną Radę powołał prezydent Zaleski w roku 1949, problem polegał jednak na tym, iż ani PPS, ani Stronnictwo Narodowe, ani ludowcy

nie uznawali kompetencji Zaleskiego, w związku z czym stronnictwa te nie były w Radzie reprezentowane. W 1954 roku większość członków Rady Narodowej znalazła się w obozie Zjednoczenia Narodowego. W późniejszym okresie Zaleski powoływał kolejne Rady Narodowe, złożone z uznających jego mandat postaci, które jednak nie miały wpływów w społeczności emigracyjnej.

Od 1949 r. istniała - jak wspominałem - Rada Polityczna. Obok PPS i Stronnictwa Narodowego tworzyli ją także działacze ruchu Niepodległość i Demokracja - NiD, którzy wywodzili się z AK, jak na przykład Jan Nowak Jeziorański, z młodszych oficerów Polskich Sił Zbrojnych, były wśród nich wybitne postacie nauki i kultury. Po kryzysie w 1954 roku Rada Polityczna przestała istnieć, a należące do niej stronnictwa tworzyły odtąd Tymczasową Radę Jedności Narodowej, w której skupiły się najważniejsze ugrupowania emigracyjne. Prócz wymienionych, byli to także piłsudczycy skupieni w Lidze Niepodległości Polski oraz tzw. Niezależna Grupa Społeczna, na której czele stanął Kazimierz Sabbat. Grupa ta stopniowo zaczęła odgrywać coraz ważniejszą rolę w życiu emigracji, ponieważ słabły "stare" stronnictwa i ośrodki polityczne. Część z nich wystąpiła zresztą na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych z obozu Zjednoczenia, sprzeciwiając się podtrzymywaniu legalizmu i instytucji typu rządowego. Dotyczyło to NiD i części PPS, które liczyły na szybsze i głębsze przemiany nad Wisłą, a więc bliskie związki z ugrupowaniami "reakcyjnymi" uważały za krępujące. Tak więc w latach sześćdziesiątych podstawą Rady Jedności i Egzekutywy były Liga Niepodległości, Stronnictwo Narodowe, Niezależna Grupa Polityczna i PPS Ciołkosza, a w zapleczu społecznym potężne Stowarzyszenie Polskich Kombatantów i oparty głównie na jego strukturach Skarb Narodowy.

Dopiero po śmierci Zaleskiego w 1972 roku doszło do zjednoczenia jego ośrodka politycznego z obozem Zjednoczenia, choć tym razem podporządkowania się legalizmowi odmówiło Stronnictwo Narodowe, które kontynuowało działalność na własną rękę aż do roku 1990. Wokół prezydentów - kolejno Stanisława Ostrowskiego, Edwarda Raczyńskiego, Kazimierza Sabbata i w ostatnim roku Ryszarda Kaczorowskiego - skupiały się różne siły społeczne,

stowarzyszenie kombatantów, piłsudczycy, Niezależna Grupa Polityczna i PPS Adama i Lidii Ciołkoszów. Najważniejsze było jednak podtrzymanie ze strony organizacji kombatanckich.

Historię rządu i emigracyjnego legalizmu zamykało przekazanie w grudniu 1990 roku przez prezydenta Kaczorowskiego insygniów władzy wybranemu w powszechnych wyborach Lechowi Wałęsie.

Prof. dr hab. **Andrzej Friszke** - historyk, specjalizuje się w najnowszej historii Polski. Pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN oraz Collegium Civitas. Członek Rady Muzeum Historii Polski. Opublikował m.in.: *Życie polityczne emigracji* (1999); *Polska - losy państwa i narodu 1939-1989* (2003); *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi* (2010); *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności* (2011).

Ilustracja: proporzec Prezydenta Rzeczypospolitej według wzoru z 1927 r., Wikimedia Commons, domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Kluczewo 1992 rok

Mijają Kolejne lata po pamiętnych przeobrażeniach ustrojowych, „nowa rzeczywistość” przestaje już być nową i nosi trwałą nazwę „demokracja”. Okres jej istnienia uznawany jest jako czas pełnej niepodległości. Symbolami jej kształtowania się są na pewno kolejne wolne wybory, przekazanie insygniów prezydenckich przez prezydenta Kaczorowskiego oraz wyprowadzenie Armii Radzieckiej z terytorium Polski.

Ten ostatni proces odbył się za prezydentury Lecha Wałęsy człowieka – symbolu wszystkich przemian.

60 tys. żołnierzy tzw. Północnej Grupy Wojsk Radzieckich stacjonowało na naszym terenie w wydzielonych garnizonach. Najstynniejsze z nich to Legnica, Świdnica, Borne-Sulinowo, Świnoujście, Chojna, Kluczewo i inne.

Żołnierski los pozwolił mi być bezpośrednim świadkiem ich odejścia z ostatniego wymienionego garnizonu. Byłem wtedy oficerem Wojskowej Komendy Kolejowej w Stargardzie Szczecińskim w skład której wchodziło 3 oficerów: mjr Aleksander Turakiewicz – komendant, kpt. Stanisław Wiśniewski i ja też w stopniu kapitana. Wszyscy byliśmy absolwentami WAT. Ponieważ Kluczewo było na terenie naszej służbowej odpowiedzialności komendant otrzymał zadanie sprawowania nadzoru nad transportami wojskowymi wychodzącymi z bocznic lotniska.

Historia w Kluczewie zaczęła toczyć się niezauważenie dlatego nie pamiętam już którego dnia w godzinach służbowych kpt. Wiśniewski otrzymał zadanie

skontrolowania transportu byłej AR*. Ponieważ miałem wtedy „malucha” pojechaliśmy tam razem, czułem, że jest to ważna chwila dlatego zabrałem ze sobą także 11-letnią córkę Justynę. Gdy zajechaliśmy na miejsce na podstawionych uprzednio wagonach stały już samochody, były to albo Urale albo Ziły. Kpt. Wiśniewski podszedł do dowodzącego oficera i spisywał niezbędne dane, ja natomiast zwróciłem się do córki: „patrz i zapamiętaj jest to moment który uznany zostanie za historyczny, a ty jesteś jednym z nielicznych tego świadków.”

Gdzieś, może w archiwum, istnieje Książka Robocza Sytuacji Przewozowej w której ta data i ten transport jest zapisany.

Podejrzewam, że mógł to być 06.04.1992 r. bądź dzień jeszcze wcześniejszy.

DZIEŃ POWSZEDNI ZAŁADUNKU

Ładowanie mienia byłej AR odbywało się na wspomnianej bocznicie kolejowej, biegnącej ze stacji Stargard Szcz. – Kluczewo do jednostki gdzie znajdowała się solidna rampa, która znacznie ułatwiała wprowadzanie pojazdów na wagony. Całością załadunku kierował oficer Rosjanin w stopniu kapitana. Był to bardzo

* Armia Radziecka.

W tym czasie była to już armia Wspólnoty Niepodległych Państw (WNP)

wesoły człowiek pochodzący z Chabarowska, niestety imienia jego już nie pamiętam. Miał wiernego pomocnika małego kundelka „Michaiła”. Nie trudno się domyśleć na czyją cześć został ten piesek tak nazwany. Niestety mimo, że nad wszystkim czuwały „dwie głowy” załadowanie transportu nie przebiegało aż tak sprawnie. Zważywszy, że Wojsko Polskie cały transport operacyjny ładuje do trzech godzin, Rosjanie** ten czas znacznie przekraczali. Przezorna polska kolej już na kilkadziesiąt godzin przed planowanym rozpoczęciem ładowania podstawiła swoje wagony, dawała przez to bardzo dużo czasu na wykonanie zadania. Niestety Rosjanie nie zawsze to należycie wykorzystywali i często koniec prac następował dosłownie na pięć minut przed planowanym odjazdem.

Dzień zaczynał się dość leniwie, oficerowie i praporszczyki razem z żołnierzami nie śpiesząc się po zjedzonym śniadaniu gromadzili się na rampie. Gdy podjeżdżały samochody pojedynczo wprowadzano je na wagony, tam były klinowane i wiązkami drutów mocowane do wagonów. Poważnym utrudnieniem było to, że Rosjanie nie mieli oryginalnych klinów tak więc klinowali czym się dało, przez co często naruszali obowiązujące u nas zasady. Jedno trzeba przyznać, że mocowanie drutami było bardzo solidne. Wszystkie prace fizyczne wykonywała głównie kadra zawodowa, żołnierzy służby zasadniczej trudno już było zmusić do ciężkiej wydajnej pracy. Po załadowaniu całości transport kontrolowali polscy kolejarze – rewidenci, którzy na ogół główne pretensje mieli do oklinowania. Oczywiście nakazywali wykryte usterki usunąć, dawali na to odpowiedni czas i odchodzili. Rosjanie zbytnio tymi uwagami się nie przejmowali gdyż znaleźli

** Oczywiście nie byli to tylko Rosjanie ale także przedstawiciele wielu narodowości dawnego ZSRR.

W tym czasie Rosjanami określano wszystkich żołnierzy dawnej AR.

na nie bardzo skuteczny sposób. Przychodząc ponownie na sprawdzenie nasi rewidenci cudownie miękli. W tym czasie kiedy trwały jeszcze ostatnie formalności Ci żołnierze którzy wyjeżdżali zegnali się z pozostającymi. Na środku rampy stał stolik na nim chleb, słonina i butelki spirytusu, obok adapter z którego non-stop leciała melodia słynnej pieśni „Pożegnanie słowianki” były słowiańskie łyżki i pocałunki. Ci którzy mieli jechać wsiadali do wagonów zegnani przez pozostających kolegów wszyscy mieli świadomość, że już w tym gronie nigdy się nie spotkają. Nawet zawsze wesoły kapitan z Chabarowska i jego wielki-mały przyjaciel „Michaił” posępnieli w tej chwili. Powoli transport odjeżdżał mijając po drodze puste wagony przygotowane do kolejnego załadunku.

Były także i sytuacje dramatyczne. Ładowanie transportu odbywało się bez jakiegokolwiek zabezpieczenia medycznego i technicznego co w naszym wojsku jest niedopuszczalne.

Po załadunku wszystkie szyby samochodów były zabezpieczane przed ewentualnym wybiciem ich kamieniami. W tym celu na okna zakładano tektury lub płyty pilśniowe pochodzące głównie z propagandowych plansz.

Tego dnia 4.08. było niesamowicie duszno i upalnie podczas zabezpieczania szyb będący na masce ZIŁ-a kapitan zasłabł i spadł na tory uderzając głową także o krawędź wagonu. Od razu stracił przytomność, koledzy którzy podbiegli próbowali udzielić mu pierwszej pomocy ale bezskutecznie, rozpoczęła się chaotyczna krzątanina i szukanie pomocy. Przypadkowo znalazł się prywatny polski TARPAN i on zawiózł nieprzytomnego oficera do szpitala (później mówiono, że w polskim szpitalu go nie przyjęli – mówiono także, że kapitan zmarł, jednak trudno mi powiedzieć na ile było to prawdziwe).

Z wypadku tego nie wyciągnięto należytych wniosków, nadal ładowano bez zabezpieczenia medycznego.

Czasami transportem wojskowym wyjeżdżały również rodziny kadry. Na początku czerwca zdarzył się poważny incydent. Otóż na granicy w transporcie który przyjechał z Kluczewa doszło do buntu żon. Niepewność losu, a może przerażenie przed obniżeniem standardu życia spowodowało, że oburzone kobiety przedstawiając swoje socjalne warunki z desperacją zablokowały cały transport. Oczywiście to niezadowolenie kilku pań nie miało większego znaczenia dla procesu opuszczania lotniska. Obowiązywać zaczął zakaz zabierania ze sobą członków rodzin. I muszę przyznać, że mimo narzekań był on bezwzględnie przestrzegany. Od tej pory rodziny wyjeżdżały normalnymi pociągami. Zresztą gro rodzin przetransportowano drogą powietrzną samolotami „Aeroflotu”

Część z kadry jakby przewidując co się święci już wcześniej odesłało swoich najbliższych do domu lub do krewnych. Często ich żony na nowym miejscu podjęły już pracę a dzieci chodziły do szkoły.

Moje kontakty z osobami funkcyjnymi transportów były poprawne, tylko raz doszło między nami do konfliktu kiedy wstrzymałem wyjazd całego składu. Powodem było to, że zlekceważono całkowicie zasady bezpieczeństwa, zamocowanie sprzętu na wagonach było według mnie niedopuszczalne. Zrobił się harmider przyjechał ich wojskowy komendant kolejowy ze Szczecinka, a nawet zastępca dowódcy dywizji w stopniu pułkownika, który w przeciwieństwie do k-ta uznał moje racje i pośpiesznie kto żyw nawet podpułkownicy usuwali wskazane usterki.

ŻOŁNIERZE NIEZNANEJ OJCZYZNY

Kolejne dni spędzone na rampie i stacji w Kluczewie pozwalały bliżej przyjrzeć się byłym radzieckim żołnierzom, w sytuacji dla nich przełomowej.

Przede wszystkim widać było upadek dyscypliny, głównie w relacji żołnierz służby zasadniczej – kadra. Najbardziej krnąbrni byli żołnierze pochodzenia azjatyckiego, ci jeżeli w ogóle coś robili to robili to z wielkimi oporami i z niechęcią. Uważali, że nie są już żołnierzami tej armii i wyczuć można było, że czekali tylko na powrót do domu. Większość prac fizycznych wykonywała kadra. Korpus oficerów i praporszczyków też przestawał być jednolity, ujawniały się animozje narodowościowe związane głównie z oczekującą ich przyszłością. Mieli oni poważne problemy do rozwiązania typu: gdzie się osiedlić (w jakim państwie) czy służyć dalej w armii a jeżeli tak to w jakiej, co robić na emeryturze itd. Nie zawsze Ukrainiec chciał pozostać w armii niepodległej Ukrainy i odwrotnie. Na początku ewakuacji większość wierzyła, że jest to zwykłe przegrupowanie do innych garnizonów z biegiem kolejnych tygodni ta wiara słabła, narastała nienawiść do władz państwowych, Gorbaczowa i przełożonych. Nastroje uległy gwałtownemu pogorszeniu gdy przyszła wieść, że jakieś planowane do zasiedlenia osiedle gdzieś pod Leningradem w ogóle nie istnieje.

W stosunku do mnie jako przedstawiciela WP byli nawet serdeczni, czasem wylewni. Nie rozumieli widocznej już i okazywanej im wrogości Polaków, nie pojmowali tego, że uważani są za okupantów, czy też symbol zniewolenia. Jednocześnie bali się przyszłości w własnym kraju. Na tym tle wyróżniali się piloci z ich ust nigdy nie usłyszałem ani słowa skargi, żalu, pretensji, byli dumni i świadomi swojej godności.

Któregoś dnia nad Kluczewo nadleciało kilka a może kilkanaście samolotów z których każdy z osobna wykonywał skomplikowane akrobacje poczym siadał na lotnisku, był to istny show lotniczy jakiego być może wielu z nas nigdy nie zobaczy. Tego dnia pokazano prawdziwy kunszt pilotażu.

Część kadry mieszkała w blokach położonych na zewnątrz kompleksu lotniska, o te mieszkania faktycznie nie dbano, ogrzewane piecami posiadały starą, obskurną instalację sanitarną w zdecydowanej większości pokoi królowała ciemna olejnica. Często spotkać można było meble wykonane z zwykłych desek. Co ciekawe śmieci w tych blokach wyrzucano także na strychy.

W miarę upływu czasu bloki sukcesywnie pustoszały a zwały śmieci ze strychów wywieziono. Inaczej mieszkało na terenie kompleksu lotniska, standard wielu mieszkań nie odbiegał od polskich. Dlatego mieszkańcy tego osiedla najbardziej przeżywali niepewność losu. Jeden z podpułkowników wyraził się, że i tak osiągnął duży postęp bo „będzie mieszkał w ziemiance z kapitalistycznym telewizorem, wideo i anteną satelitarną”.

Rozprężenie wśród kadry było wyraźne, objawiało się to lekceważącym podejściem do wykonywanych obowiązków, małą dbałością o umundurowanie i wygląd zewnętrzny, nagminnym wyśmiewaniem i szydzeniem z przełożonych, piciem alkoholu.

Oczywiście te uwagi nie dotyczyły pilotów i niektórych jednostek. Szczególną zwrócić

zwrócić uwagę na zdyscyplinowanie do końca zachował batalion radiotechniczny. UAZ jego dowódcy na kole zapasowym posiadał kołpak mercedesa, dlatego często zauważalny był na ulicach Stargardu. Podczas lądowania tego batalionu nie słyszało się słowa skargi, mówiono, że

batalion ten po przekroczeniu granicy miał być rozformowany.

Zdarzały się przypadki, że niektórzy żołnierze ujawniali swoją polskość choć większej ochoty na osiedlenie się w Polsce raczej nie mieli.

Najbardziej charakterystyczny był przypadek jednego praporszczyka. Załatwiał on wszystkie sprawy dokumentacyjne na stacji PKP. Z racji tego często się spotykaliśmy i rozmawialiśmy on po rosyjsku, ja po polsku. Po kilku tygodniach naszej znajomości przyszła kolej i na niego. Gdy załatwił wszystkie formalności kwitowe i zamówił wagony na następny transport usiedliśmy razem na ławce przy budynku stacyjnym. Było bardzo ciepło ja trochę się zamyśliłem i w pierwszej chwili nie spostrzegłem, że „mój” praporszczyk mówi do mnie czystą polszczyzną. Opowiadał o swojej rodzinie – o żonie nauczycielce, dzieciach

i o tym, że polskiego nauczyła go babcia, że w domu dopóki ona żyła mówiono po polsku,

że w dzieciństwie czytał polskie książki, że rodzina za polskość została wywieziona w latach 30-tych na Syberię i że znalazł w Polsce dalekich krewnych. Snuł plany o dalszym życiu już na emeryturze, nie ukrywał, że chciałby w Polsce już prywatnie popracować a zarobione pieniądze zainwestować w dom. Mieszkał z rodziną w m. Chmielnick na Ukrainie. Nie pytałem go dlaczego tak długo z tą polskością się ukrywał uznałem, że była to jego sprawa. Tego dnia widzieliśmy się ostatni raz.

Byli także oficerowie którym na niczym nie zależało np. taki por. Małygin z radzieckiej komendy kolejowej w Szczecinku, otrzymał awans na kapitana jednak po wniosku awansowy do Legnicy nie pojechał mówiąc mi, że ma go gdzieś. W ogóle oficerowie służb kolejowych jeżeli już byli w Kluczewie to nie było ich

widać i też jak tu nie byli to też nic szczególnego nie zaszło. Byli serdeczni, pili dużo i do niczego się nie wtrącali.

Mimo ogólnego rozprężenia w dyscyplinie wyprowadzenie wojsk kolejną odbywało się bez większych zgrzytów i planowo.

Nie znam żadnego przypadku prób handlowania techniką wojskową. Zabierano na wagony wszystko od starych zardzewiałych części do maszyn aż do nowych UAZ-ów.

Mimo, że w tym czasie mówiono o masowej wyprzedaży broni również nie znam nawet z opowiadań aby ktokolwiek (także bezimienny) zakupił tutaj broń lub jakąś jej część. Natomiast osobiście widziałem jak odmawiano sprzedaży sortów mundurowych szczególnie mundurów polowych. Dziwiło mnie to, gdyż na rynku w Turzynie i w Stargardzie Szcz. był to towar powszechnie dostępny. Jednak co poświadczam nie w Kluczewie. Oczywiście mogły się zdarzyć jakieś pojedyncze przypadki przeczące moim spostrzeżeniom ale przebywałem tam zbyt długo aby w przypadku masowości handlu nie zauważyć tego procederu.

Także sprawność sprzętu nie budziła zastrzeżeń, gorzej z utrzymaniem. Zresztą wszyscy, którzy spotkali się z AR na poligonach potwierdzą wysoki stopień sprawności ich techniki wojskowej.

NASTAWIENIE I POSTAWY LUDNOŚCI POLSKIEJ

Okoliczna ludność z nieukrywaną radością przyjęła ewakuację jednostek z Kluczewa. Na pewno głównym tego powodem był sam fakt likwidacji lotniska jako symbolu uzależnienia Polski od ZSRR. Ponadto położenie lotniska było uciążliwe dla mieszkańców Stargardu i sąsiednich wiosek.

W psychice ludzi nastąpiło jakby odblokowanie „wiecznej obawy” objawiło się to lekceważącym stosunkiem do kadry, żołnierzy i cywili po prostu nie bano się już.

W rozmowach na temat Rosjan dominowały epitety wyrażające powszechną pogardę, używano różnych powszechnie obraźliwych słów. Życzono im wszystkiego łącznie z tym aby „pozdychali” i „zjadły ich żywcem robaki”. Szydzono ze wszystkiego co kojarzyło się z AR ale i jawnie, wręcz ostentacyjnie okazywano nienawiść dla ewakuowanych.

Najbardziej przykre były te momenty gdy następowały nieporozumienia wynikłe z różnic językowych, wtedy określenie głupi było wyjątkowo delikatne.

Za wszelką cenę próbowano udowodnić im jakimi są głupcami, często dochodziło do sytuacji komicznych.

Trzeba przyznać, że Rosjanie spokojnie podchodzili do tych określeń może ich czasami nie rozumiejąc, od czasu do czasu wyciągali buteleczkę i głowa naszego „światłego herosa” w porównaniu z „głupią azjatycką” stawała się totalnie kretyńska.

Takie zachowanie zważywszy obciążenie historyczne nie dziwiło, ale dla tych co znali realia życia przy garnizonach AR na pewno zastanawiało.

W wolnych chwilach oczekując na „wyciągnięcie” transportu z lotniska rozmawiałem

z miejscowymi. Opowiadali mi jak w stanie wojennym zaopatrywali się u „Ruskich”

w mięso, słodycze, zegarki, stopery, aparaty fotograficzne itd. Opowiadali legendy o tym jak jakiemuś chłopu pozwolono uprawiać ziemię na terenie lotniska a innego to d-ca brał do swego samolotu i oblatywał z nim okolicę. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gro mieszkańców Kluczewa skutecznie korzystało z sąsiedztwa AR.

Jak już powiedziałem pozostawione mieszkania były obskurne. Tuż po ich opuszczeniu wchodzili do nich nasi „poszukiwacze skarbów”, „brano” głównie krany, zlewozmywaki, wanny i nie wiem po co ale także kafle z pieców (sądzę tak gdyż w mieszkaniach w których byłem kilka z nich było nieudolnie rozebranych).

W pamięci utkwiał mi fakt odcięcia stalowej rury wodociągowej tak, że kilka dni woda lała się po schodach i na zewnątrz bloku. Musiał mieć nasz rodak wielkie samozaparcie że zwykłą piłką przeciął rurę przy podłodze i przy suficie.

Dobrze się stało, że proces dewastacji nie pogłębiał się gdyż mieszkania te bardzo szybko zostały zakupione i potężnym wysiłkiem ich nowych właścicieli odremontowane.

EFEKTYWNOŚĆ DZIAŁALNOŚCI NADZORCZEJ

Oprócz przedstawicieli Wojska Polskiego działały na rampie także polskie służby celne. Ich działalność ograniczała się do sprawdzania mienia osobistego głównie wyposażenia mieszkań. Dobra te wkładane były do oddzielnych kontenerów i po sprawdzeniu

i oplombowaniu ładowano je na wagony. Wagony te nie zawsze dołączano do transportów wojskowych, zresztą tych celnicy nie kontrolowali. Kontrola przez celników była tak dokładna, że mało prawdopodobne było aby w tych kontenerach przewożono rzeczy kradzione. Również wielkość kontenerów znacznie ograniczała ich możliwości ładunkowe.

Wbrew krążącym legendom, nie było ludzką możliwością aby przewieziono koleją kradzione samochody. Każdy wagon był dokładnie sprawdzany. Jeżeli zdarzały się wątpliwości problem ten natychmiast przekazywano do sprawdzenia przez ŻW, taką kontrolę przeszły wszystkie prywatne samochody osobowe, załadowane na transport. Sprawdzono 100% przyczep

i skrzyń ładunkowych. Natomiast nie poddane były kontroli wnętrza pojazdów specjalnych

i sprzętu specjalnego gdyż Rosjanie zdecydowanie tego odmawiali argumentując i zasłaniając się tajemnicą wojskową. Pojemność tego sprzętu stwarzała warunki do przewiezienia mienia o małych gabarytach typu lodówka, pralka itp.

Podczas wszystkich dni spędzonych na boczniczy i na stacji w Kluczewie nie widziałem żadnego umundurowanego policjanta.

Wywóz sprzętu i ludzi koleją był fragmentem całości ewakuacji jednostek WNP z Kluczewa.

Ważny nurt tego procesu odbywał się drogą powietrzną. Przebiegał on praktycznie poza kontrolą polskich służb. O tym co ładowano do samolotów faktycznie nic nie wiedzieliśmy. Wydaje mi się, że również władze polskie nie zamierzały objąć tej formy transportu swoją kontrolą lub też nie pozwalały na to realia tamtego czasu.

W każdym bądź razie zakres naszych czynności ograniczał się tylko do boczniczy i rampy. Dalej już na teren właściwego lotniska wejść nie mogliśmy.

Choć nie mogę potwierdzić procederu handlu klasycznym mieniem wojskowym to na pewno prowadzono inną działalność gospodarczą jak np. sprzedaż złomu. Wokół rampy zniknęły wszystkie elementy stalowe od zwykłego żelastwa począwszy a na kratownicach czy innych konstrukcjach stalowych skończywszy. Pamiętam, że niedaleko stało zmontowane uźebrowanie nowej stołówki żołnierskiej – także zniknęło. Zniknęły również płyty budowlane, (tzn. nie zniknęły tylko wyjechały polskimi KAMAZAMI).

W tym czasie nikt tego co wyjeżdża z terenu lotniska nie kontrolował, dopiero po kilku miesiącach gdy główna fala wyprowadzania wojsk minęła wyłapano kilku amatorów poradzieckiego paliwa.

SPOTKANIE Z GENERAŁEM

Ostatnią jednostką wojskową ładującą się na transporty kolejowe był wspomniany już batalion radiotechniczny. Było to na początku września.

Przedtem dowództwo tego batalionu zwróciło się do komendanta Wojskowej Komendy Kolejowej w Stargardzie Szczecińskim o przeszkolenie osób funkcyjnych, ze szczególnym uwzględnieniem spraw związanych z naszymi wymaganiami odnośnie przepisów i norm zakładowych, co też uczyniliśmy. Odpowiedzialnym za załadunek jednostki był zastępca dowódcy batalionu ds. technicznych w stopniu kapitana. Chociaż rodzina jego i on sam pochodziła z Ukrainy z Kijowa, jednak dalszą swoją karierę planował związać z armią rosyjską. Nie ukrywał swego polskiego pochodzenia, lecz po polsku mówił słabo. Był oficerem energicznym i z powodzeniem w tych trudnych warunkach utrzymywał dyscyplinę dlatego jednostka pod jego nadzorem ładowała się bardzo sprawnie. Ładowaniem tej jednostki zainteresował się osobiście dowódca związku taktycznego gen. Basow. Jego przybycie na rampę wzbudziło lekką „panikę wojskową”. Najmniej tym przejęli się żołnierze służby zasadniczej. Gdy Generał przyjął meldunek od dowódcy batalionu, podszedłem do niego i po polsku przedstawiłem się.

Generał nie zlekceważył mnie, oddał honor i podał rękę wymieniając swój stopień i nazwisko. Był wzrostu niskiego, na twarzy widać było zatroskanie i smutek. Nie patrzył w oczy - spytał się tylko co słychać i na tym nasze spotkanie się skończyło.

OSTATNI DZIEŃ

15 września 1992 roku nadzorowałem ostatni raz transport WNP. Od kilku dni kontrolę nad obiektami i lotniskiem

sprawowało już Wojsko Polskie. Na bramie od strony Kluczewa stanął także polski wartownik, który mnie na rampę nie wpuścił. No cóż, miał do tego prawo. Ja również musiałem wykonać swoje zadanie i do rampy dotarłem po torach. Tam wagony były już w większości załadowane i żołnierze dawnej AR mocowali sprzęt. Rampa nie była jeszcze dla strony polskiej przekazana. Gdy stałem rozmawiając z wspomnianym kapitanem, nadjechał polski wojskowy samochód ciężarowy, wyskoczyło z niego kilku naszych żołnierzy z bronią i na oczach zdumionych Rosjan otoczyli mnie. Dowódca plutonu kazał mi wejść na skrzynię ładunkową samochodu. Spytałem się go – dlaczego? – ponieważ wszedłem Pan na teren lotniska bez przepustki – odpowiedział mi. Na to ja go pytam – czy tych kilkudziesięciu umundurowanych Rosjan posiada przepustki? – no nie – odpowiada. To dlaczego Pan ich nie zatrzyma? – milczenie. Pytam dalej czy Wojsko Polskie przejęło pod ochronę obiekt i czy wie, że bocznica kolejowa leży na terenie służbowej odpowiedzialności WKK w Stargardzie Szczecińskim – nie – pada odpowiedź – ale musi pan kapitan udać się z nami – kontynuuje. Całą tą chęć nadal obserwowali już nie zdumieni ale rozweseleni Rosjanie.

Aby dalej nie ośmieszać naszej dzielnej armii, chciałem już wejść do tego samochodu. Jednak, gdy spojrzałem na skrzynię ładunkową i zobaczyłem brud jaki tam był, zrezygnowałem z tego zamiaru. Zażądałem od plutonowego aby skontaktował się ze swoim przełożonym i przedstawił moje racje. Przy czym zaznaczyłem, że do samochodu na tę obświnioną skrzynię ładunkową nie wejdem. (były tam ślady co najmniej kilku posiłków). Plutonowy widząc komiczność sytuacji, (zatrzymanego w środku pododdziału WNP polskiego żołnierza i to jeszcze odpowiedzialnego za nadzór nad załadunkiem) kontaktuje się ze swoim

przełożonym, a ten nakazuje mu powrót na wartownię.

Muszę przyznać, że przykro było patrzeć na śmiech naszych dawnych sojuszników.

KRÓTKIE PODSUMOWANIE

We wrześniu 1992 roku Kluczewo opustoszało, ochronę obiektów przejęło Wojsko Polskie.

Po sprawdzeniu kompleksu przez żołnierzy ze stargardzkiego batalionu saperów, rozpoczęło się tu nowe życie.

Pobyt wojsk radzieckich (później WNP) przeszedł do historii. Od kwietnia do września 1992 r. wyjechało z Kluczewa ponad 40 transportów, którymi na ok. 533 wagonach ewakuowano:

żołnierzy z kadrami zawodową - ponad 400

samochodów różnych typów - ok. 360

sprzętu specjalnego i przyczep - ok. 200

bomby i rakiety lotnicze - 30 wagonów

Poszczególni oficerowie objęli nadzorem następujące ilości transportów:

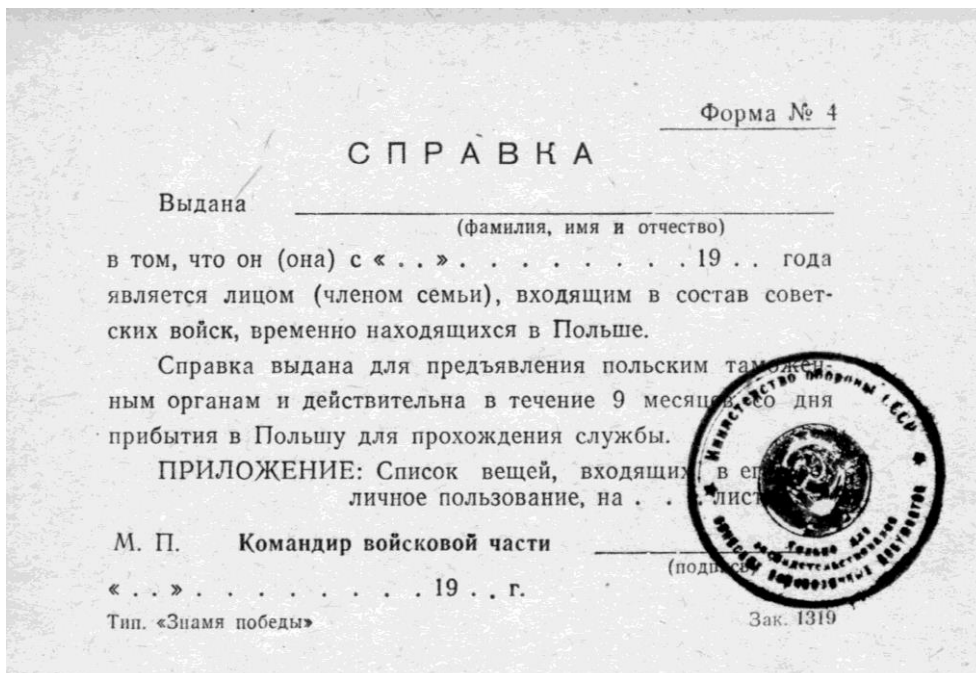
komendant WKK Stargard Szcz. mjr Turakiewicz Aleksander - 8

starszy oficer kpt. Wiśniewski Stanisław - 8

oficer kpt. Szutowicz Andrzej - 26

Dwa transporty były nadzorowane wspólnie przez obu kapitanów.

mjr Andrzej Szutowicz
Drawno, czerwiec 2003 r.



Radziecka przepustka

Pierwsza emisja marki polskiej



Podczas trwania I wojny światowej państwa centralne wyparły z Królestwa Kongresowego wojska carskie. W ten sposób w 1915 r. zakończył się przeszło stuletni okres zaboru tych ziem przez Rosję. Nowe władze okupacyjne podzieliły zajęty teren na dwie części. Z guberni kaliskiej, warszawskiej, płockiej, łomżyńskiej oraz części piotrkowskiej i siedleckiej stworzono Generalne Gubernatorstwo Warszawskie – kontrolowane przez Cesarstwo Niemieckie. Pozostały obszar z Lublinem został przekazany natomiast pod zarząd Austro-Węgrom.

W swojej strefie wpływów Niemcy szybko zaczęli wprowadzać nowe porządki dotyczące różnych dziedzin życia. Jedną z istotniejszych zmian z zakresu gospodarki i finansów było zastąpienie rubla, kojarzonego z rosyjskim carem, marką polską.

9 grudnia 1916 r. na mocy rozporządzenia generała-gubernatora warszawskiego Hansa Hartwiga von Beselera ruszyła emisja nowej waluty. Na dwóch pierwszych seriach banknotów znalazła się informacja mówiąca, iż „Rzesza Niemiecka przyjmuje odpowiedzialność za spłatę Biletów Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej w Markach Niemieckich po cenie nominalnej”.

Wraz z postępującą inflacją pojawiały się coraz wyższe nominały papierowych pieniędzy, które z czasem zaczęły osiągać wartość 10 milionów marek polskich. Ważne symboliczne znaczenie dla Polaków miała jednak obecność na banknotach wizerunku orła białego w koronie. Polskie godło wyrugowane przez Rosjan z oficjalnego urzędowego obiegu w Królestwie Polskim po stłumieniu powstania listopadowego, teraz powracało. Po odzyskaniu niepodległości przez Rzeczpospolitą, polski sejm 28 listopada 1919 r. uchwalił ustawę wprowadzającą nową jednostkę płatniczą – złotego. Ze względu jednak na deficyt budżetowy i niestabilną sytuację wewnętrzną, wymiana waluty stała się możliwa dopiero po kilku latach. W 1924 r. dokonał jej rząd Władysława Grabskiego.

Paweł Cichocki

Ilustracja w tle: Banknot półmarkowy z 1916 roku, [domena publiczna](#).

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Tomasz Bonek
Marta Ringart-Orłowska

LUBIAŹ

Klasztor mrocznych tajemnic

**Zagadki i sekrety z burzliwych
dziejów największego opactwa w Polsce**

 
Replika
HISTORIA

Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu


Replika
www.replika.eu

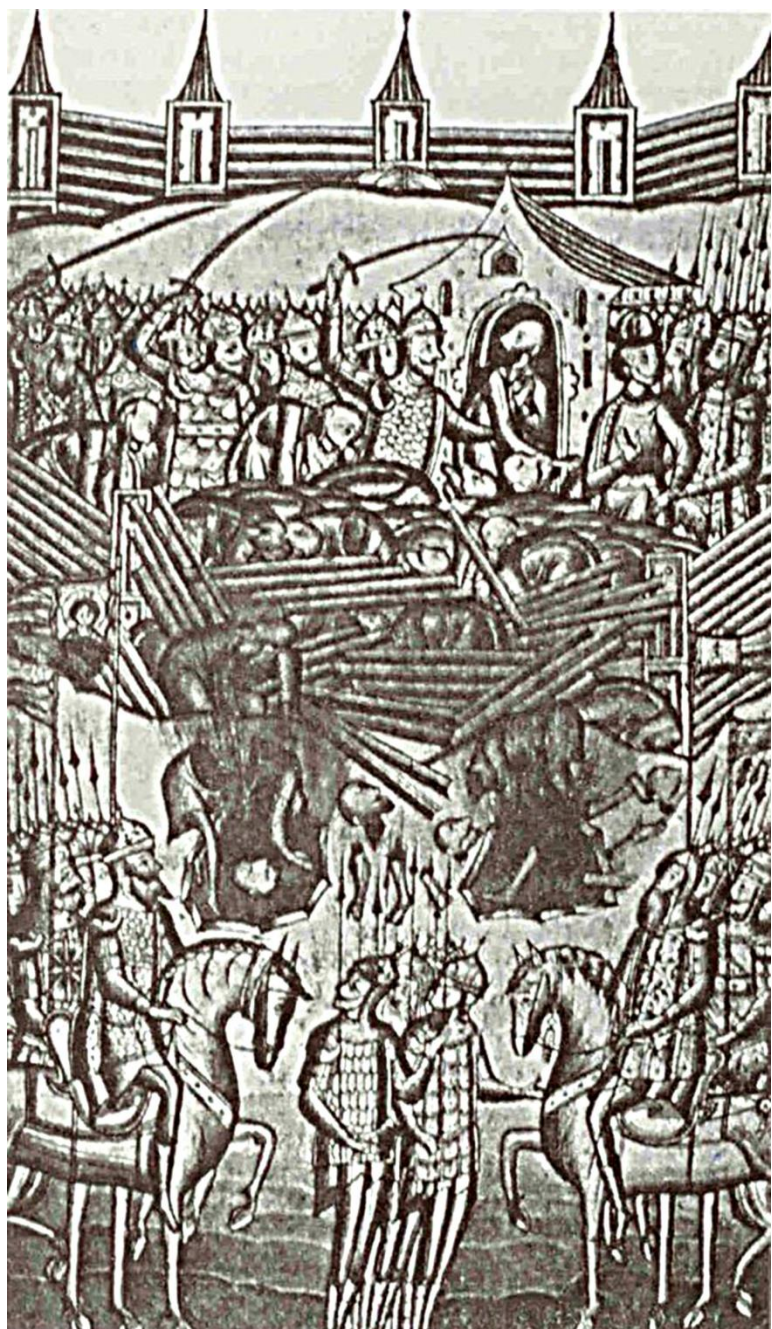
Zdobycie Kijowa przez Mongołów

W XIII wieku koczownicze ludy stepowe zjednoczone przez Temudżyna, zwanego Czyngis-chanem, ruszyły na podbój świata. Mongołowie opanowali olbrzymie połacie Azji Środkowej i wkrótce też zaczęli przekraczać Kaukaz, przedostając się do Europy.

Jako pierwsi azjatyckim najeźdźcom musieli stawić czoła władcy ruskich księstw, którzy w 1223 r. nad rzeką Kałką ponieśli sromotną klęskę w konfrontacji z lepiej zorganizowanymi przeciwnikami, dowodzonymi przez Dżebę i Subedeja.

Po śmierci Temudżyna, jego wnuk Batu-chan kontynuował ekspansję w kierunku Europy. W latach 1236–1238 Mongołowie podbili Bułgarię Nadwołżańską, a następnie zajęli Riazan i Księstwo Włodzimiersko-Suzdalskie, docierając na północy do Nowogrodu. Koniec 1238 r. i pierwsze miesiące 1239 r. armia Batu wykorzystała do narzucenia zwierzchności Połowcom oraz plemionom północnego Kaukazu, zaś na wiosnę 1240 r. przegrupowane i wypoczęte armie mongolskie podjęły marsz na zachód. Opanowane wcześniej stepy kumańskie stały się znakomitym przyczółkiem do ostatecznej rozprawy z rozbitą na dzielnice Rusią Kijowską.

Przed bezpośrednim uderzeniem na Kijów, Mongołowie najechali i spustoszyli Czernihowszczyznę. Na wieść o zbliżających się Azjatach, książę kijowsko-czernihowski Michał zbiegł na Węgry, zadanie obrony grodu przekazując bojarowi Dymitrowi. Agresorzy dowodzeni przez Mongkę początkowo chcieli oszczędzić stolicę Rusi,



ale w zamian żądali bezwarunkowej kapitulacji. Odpowiedź broniących się była jednak negatywna. Co więcej, mongolscy emisariusze zostali zabici przez Rusinów i od tej chwili nie było już mowy o jakimkolwiek porozumieniu.

Kijów pomimo zacieklej obrony padł 6 grudnia 1240 r., a jego mieszkańcom urządzono krwawą rzeź. Złupiona i zniszczona Ruś na przeszło dwieście lat dostała się pod panowanie Mongołów. Wkrótce też najeźdźcy wykorzystali zdobyte ziemie jako bazy wypadowe do dalszych podbojów w Europie. Jedna z armii Batu-chana dotarła m.in. w 1241 r. na Śląsk, gdzie pod Legnicą stoczyła zwycięską bitwę z rycerstwem polskim i niemieckim.

Paweł Cichocki

Ilustracja w tle: Rycina przedstawiająca zdobycie Kijowa, 1240 r. [Domena publiczna](#).

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Wprowadzenie stanu wojennego

OBWIESZCZENIE

o wprowadzeniu stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa

Kierując się potrzebą zapewnienia wzmożonej ochrony podstawowych interesów państwa i obywateli, w celu stworzenia warunków skutecznej ochrony spokoju, ładu i porządku publicznego oraz przywrócenia naruszonej dyscypliny społecznej, a także mając na względzie zabezpieczenie możliwości sprawnego funkcjonowania władzy i administracji państwowej oraz gospodarki narodowej – działając na podstawie art. 33 ust. 2 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – Rada Państwa wprowadziła stan wojenny.

W związku z tym podaje się do publicznej wiadomości, że na czas obowiązywania stanu wojennego w szczególności:

- 1) zakazane zostało zwoływanie i odbywanie wszelkiego rodzaju zgromadzeń, pochodów i manifestacji, a także organizowanie i przeprowadzanie zbiorów publicznych oraz imprez artystycznych, rozrywkowych i sportowych bez uprzedniego uzyskania zezwolenia właściwego terenowego organu administracji państwowej, z wyjątkiem nabożeństw i obrzędów religijnych odbywających się w obrębie kościołów, kaplic i innych miejsc przeznaczonych wyłącznie do tych celów;
- 2) zakazane zostało rozpowszechnianie wszelkiego rodzaju wydawnictw, publikacji i informacji każdym sposobem, publiczne wykonywanie utworów artystycznych oraz użytkowanie jakichkolwiek urządzeń poligraficznych bez uprzedniego uzyskania zgody właściwego organu;
- 3) zawieszono zostało prawo pracowników do organizowania i przeprowadzania wszelkiego rodzaju strajków oraz akcji protestacyjnych;
- 4) nałożony został na osoby przebywające w miejscach publicznych obo-

nowi zagrożenie dla interesów bezpieczeństwa państwa, z wyjątkiem kościołów i związków wyznaniowych;

- 4) wprowadzić cenzurę przesyłek pocztowych, korespondencji telekomunikacyjnej oraz kontrolę rozmów telefonicznych;
- 5) zobowiązać posiadaczy radiowych urządzeń nadawczych i nadawczo-odbiorczych do złożenia tych urządzeń do depozytu we wskazanych miejscach;
- 6) zobowiązać posiadaczy broni palnej krótkiej oraz broni myśliwiackiej i sportowej, a także posiadaczy amunicji i materiałów wybuchowych do złożenia ich we wskazanych miejscach;
- 7) zakazać dokonywania zdjęć fotograficznych i filmowych oraz obrazów telewizyjnych określonych obiektów i miejsc albo na określonych obszarach;
- 8) zakazać używania określonych odznak i mundurów;
- 9) wstrzymać lub ograniczyć prace określonych urządzeń łączności oraz

Rozmowa z dr. hab. **Antonim Dudkiem**

12 i 13 grudnia trwała sesja Sejmu, tymczasem Konstytucja PRL pozwalała Radzie Państwa na wydawanie dekretów z mocą ustawy jedynie między sesjami, co więcej - każdy taki dekret wymagał potwierdzenia przez Sejm. Czy była to jedyna niezgodność aktu wprowadzenia stanu wojennego z prawem?

To nie była jedyna niezgodność. Trzeba mieć świadomość, że w istocie rzeczy stan wojenny tylko formalnie wprowadziła Rada Państwa dekretem z pogwałceniem konstytucji. W rzeczywistości członkowie Rady Państwa zostali zwiezieni do Belwederu, gdzie mieli obradować w chwili, kiedy stan wojenny był już

wprowadzany. A dokładniej: w momencie, kiedy członkowie Rady Państwa wkraczali na salę posiedzeń, żeby uchwalić dekrety, od mniej więcej godziny ludzie byli już internowani. Tutaj widać wyraźnie, że tak naprawdę nie Rada Państwa zadecydowała. Ona - można powiedzieć kolokwialnie - przyklepała tylko decyzję podjętą zupełnie gdzie indziej. A konkretnie przez generała Jaruzelskiego i kilku jego najbliższych współpracowników - również generałów, którzy członkami Rady Państwa oczywiście nie byli.

Trzeba sobie uświadomić, że dyskusja na temat legalności stanu wojennego w sensie prawnym i w sensie politycznym to są dwie różne sprawy. Dla mnie spór o to, czy Rada Państwa była do tego uprawniona, jest wtórny wobec tego, że w ogóle to nie

ona decydowała. I na tym polega pewna komedia omyłek, z którą od lat mamy do czynienia. Stawia się pytanie o to czy Rada Państwa miała prawo - rzeczywiście, w świetle konstytucji w trakcie sesji Sejmu go nie miała, ale to jest wtórne - z tego prostego powodu, że ona w ogóle nie dycydowała.

Dlaczego Ryszard Reiff zagłosował przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego?

Ryszard Reiff był przeciwny tej decyzji, ponieważ wierzył, że uda się wypracować jakieś porozumienie między władzami a Solidarnością i zdawał sobie sprawę, że wprowadzenie stanu wojennego przekreśla te szanse.

Jakie były dalsze jego losy?

Natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego stracił stanowisko przewodniczącego Stowarzyszenia Pax, a ponieważ z racji pełnienia tego stanowiska został członkiem Rady Państwa, więc usunięto go także z niej i znalazł się po prostu na politycznej emeryturze.

Czy wprowadzenie stanu wojennego było dla społeczeństwa szokiem, czy też były przesłanki do przypuszczeń, że tak się może wydarzyć?

Oczywiście niektórzy to przewidywali. Spodziewano się różnych rzeczy. Trwały dyskusje na temat możliwości interwencji wojsk Układu Warszawskiego. Jasne było, że władza komunistyczna nie pogodzi się z istnieniem "Solidarności" i uderzy. Nie spodziewano się natomiast w większości, że stanie się to akurat tej nocy. Wcześniej kierownictwo związku miało już do czynienia z szeregiem fałszywych alarmów, przez co ich czujność została osłabiona. Rzecz jasna, dla większości Polaków to był gwałtowny wstrząs. Co innego spodziewać się jakiegoś ataku ze strony władz, a co innego

zetrknąć się z konkretnymi represjami: wyłączeniem telefonów, militaryzacją wielu zakładów pracy i instytucji, godziną milicyjną, ograniczeniami w swobodzie poruszania się także w ciągu dnia - poza województwo, w którym się mieszka. Wiele podobnych obostrzeń, które w stanie wojennym wprowadzono, było oczywiście szokiem, trwającym przez wiele dni, zanim się ludzie do tego przyzwyczaili. W końcu nie było tu specjalnie wyboru, zwłaszcza że granice zostały zamknięte, więc nie bardzo można było wyjechać ani uciekać.

W którym momencie rozpoczęły się przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego?

Można powiedzieć, że przygotowania zaczęto w czasie strajku w stoczni w Gdańsku, w sierpniu 1980 roku, choć wtedy nie zdecydowano się na jego wprowadzenie. Jednak tak zwany sztab operacji "Lato 80", działający w MSW, który pracował nad takim planem, działał dalej, mimo podpisanych porozumień społecznych. Jego ustalenia były później rozwijane w MSW i w MON przez cały czas aż do grudnia 1981. Ten proces miał swoje momenty kluczowe. W marcu 1981 roku ówczesny premier Jaruzelski i I sekretarz KC PZPR Kania podpisali dokument *Myśl przewodnia stanu wojennego*, który wieńczył pierwszą fazę przygotowań. Oczywiście później je kontynuowano. W Moskwie drukowano obwieszczenia o stanie wojennym, cały czas aktualizowano listę osób przewidzianych do internowania. Takie przygotowania były kontynuowane przez szesnaście miesięcy. Natomiast decyzja bezpośrednia zapadła, jak się wydaje, na początku grudnia. Trudno podać datę dzienną. Generał Jaruzelski mówi o tym, że 12 grudnia o godzinie czternastej kazał wysłać meldunek, który zawierał rozkazy dla komend wojewódzkich milicji. To było oczywiście polecenie wieńczące proces uruchamiania. W rzeczywistości decyzja ta zapadła około 10 grudnia i tę datę można

przyjąć za najbardziej prawdopodobną, chociaż nie mamy jednoznacznego potwierdzenia, w którym momencie generał Jaruzelski w otoczeniu swoich najbliższych współpracowników powziął decyzję. 5 grudnia zebrało się Biuro Polityczne KC PZPR i dało Jaruzelskiemu *carte blanche* w kwestii określenia samego momentu. Nie określono daty, ale powiedziano mu, że w dowolnej chwili może taką decyzję podjąć. Zrobił to w kilka dni później, ustalając datę na noc z 12 na 13 grudnia.

Na jak długo był planowany stan wojenny?

Nie było sztywno założonego czasu jego trwania. Ogłaszając stan wojenny, nie podano w ogóle żadnego terminu. Było oczywiste, że będzie on zniesiony dopiero wtedy, kiedy władze uznają, że osiągnęły swoje cele, czyli odzyskają panowanie nad sytuacją. Przede wszystkim chodziło o likwidację "Solidarności" w takim jej kształcie, w jakim powstała. Kiedy wprowadzano stan wojenny, nie było wiadomo, czy ma być ona zupełnie usunięta ze sceny, czy też ma być tak przebudowana, by była całkowicie lojalna wobec partii komunistycznej. Ostatecznie zdecydowano się na wariant pierwszy, a więc pełną likwidację "Solidarności". Kiedy po roku uznano, że sytuacja polityczna jest już - jak to wtedy mówiono - znormalizowana, czyli partia, czy też właściwie ekipa Jaruzelskiego, kontroluje sytuację - stan wojenny został zawieszony. To była taka faza pośrednia. Niektóre przepisy przestały obowiązywać, inne obowiązywały dalej - mam na myśli przepisy ograniczające swobody obywatelskie, nakładające najwyższy wymiar kary za pewnego rodzaju przestępstwa o charakterze politycznym. Po pół roku obowiązywania zawieszenia stanu wojennego, w święto perelowskie 22 lipca 1983 roku, został on zniesiony. Nie znaczy to, że zniesiono go w rzeczywistości. Formalnie rzeczywiście

przestał obowiązywać, natomiast zmieniono równocześnie na przykład kodeks karny, wprowadzając do niego szereg przepisów, przenoszących pewne rozwiązania z okresu stanu wojennego do normalnego porządku prawnego, co w istocie rzeczy służyło właśnie zwalczaniu opozycji. Dlatego wielu ludzi zwłaszcza z opozycji mówi, że dla nich stan wojenny skończył się w roku 1988, a nawet w 1989, kiedy zaczęły się rozmowy przygotowawcze do Okrągłego Stołu i same jego obrady. Jest w tym sporo racji. Faktycznie polityka, którą zapoczątkowano 13 grudnia, kończy się w swojej najbardziej surowej postaci w roku 1986, wraz z trzecią amnestią. Powoduje ona zwolnienie większości więźniów politycznych. Jednak dopiero w roku 1989 nastąpiła zasadnicza zmiana, czyli reaktywowanie "Solidarności", Okrągły Stół, wybory czerwcowe i powstanie rządu Mazowieckiego.

Jednym z bliższych współpracowników Jaruzelskiego w czasie trwania przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego był pułkownik Ryszard Kukliński. W jaki sposób informacje przekazywane przez niego Amerykanom, a potem interwencja Cartera w Moskwie miały rzeczywisty wpływ na przebieg wydarzeń?

Zacznijmy od tego, że pułkownik Kukliński nie mógł być uważany za jakiegoś bliskiego współpracownika Jaruzelskiego - to nie był ten krąg, on znajdował się niżej w hierarchii władzy. Był bardzo ważnym oficerem w Zarządzie I Sztabu Generalnego WP. On rzeczywiście był znakomicie poinformowany na temat przygotowań do stanu wojennego. Pracował przecież w tej części Sztabu Generalnego, która zajmowała się właśnie przygotowaniem, planowaniem. Miał dużą wiedzę i dzielił się nią z Amerykanami. Faktem jest, że w grudniu 1980 roku prezydent Carter wystosował bardzo ostre pismo do Leonida

Breżniewa, grożące retorsjami ze strony amerykańskiej w przypadku wkroczenia wojsk Układu Warszawskiego do Polski. Niewątpliwie list ten był jednym z bardzo istotnych elementów, przesądzających o tym, że Rosjanie podjęli strategiczną decyzję, że do Polski ich wojska nie wkroczą. Decyzję tę podtrzymywano aż do grudnia 1981 roku. W świetle znanych dzisiaj dokumentów widać, że - wbrew temu, co mówi generał Jaruzelski - interwencja Układu Warszawskiego wówczas Polsce nie groziła. Trudno powiedzieć, jaki był próg odporności Kremla na to, co działo się w Polsce. Na pewno nie został on przekroczony do grudnia 1981. Nie wiemy, co działo się dalej, gdyby w Polsce władza PZPR słabła, a wpływy "Solidarności" rosły. Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Taki jest stan naszej wiedzy na ten temat.

Jaka była reakcja państw Zachodu na wprowadzenie stanu wojennego?

Generalnie negatywna, jednak wyraźnie zarysowała się różnica między Stanami Zjednoczonymi a krajami Europy Zachodniej. Rządy większości krajów Europy Zachodniej wprowadzenie stanu wojennego przyjęły *de facto* z trudno skrywaną ulgą. Obawiały się one daleko idących konsekwencji ewentualnej interwencji Układu Warszawskiego w

Polsce, a być może w ogóle wybuchu wojny w Europie. To budziło tam ogromną panikę. Dlatego, choć nie przyznano tego publicznie, nie zmartwiono się tym, co stało się w Polsce.

Inne były oczywiście reakcje społeczeństw, zwłaszcza we Francji, ale także w Niemczech Zachodnich i w kilku innych krajach. Postawa ich była bardzo wyraźnie przychylna "Solidarności", Polakom, co też znalazło swój wyraz w dużej pomocy charytatywnej, opartej na dobrowolnych datkach społeczeństw. Do dziś jesteśmy ich dłużnikami wobec ogromnej liczby paczek z żywnością, które wtedy te społeczeństwa sfinansowały i przysłały do Polski głównie za pośrednictwem Kościoła.

Natomiast odmienna zupełnie była odpowiedź Stanów Zjednoczonych, rządzonych przez prezydenta Raegana, który bardzo negatywnie zareagował na stan wojenny. Natychmiast nałożył sankcje nie tylko na Polskę, ale i Związek Radziecki. Co więcej, do wprowadzenia sankcji nakłonił również kraje Europy Zachodniej. Tu Amerykanie wywarli presję na rządy francuski i zachodnioniemiecki, namawiając do przyłączenia się do bojkotu reżimu Jaruzelskiego.

Dr hab. **Antoni Dudek** - politolog i historyk, pracownik Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, opublikował m.in.: *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988-1990* (2004), *Komuniści i Kościół w Polsce 1945-1989* (2003), *Pierwsze lata III Rzeczypospolitej 1989-2001* (2002).

K. G.

Ilustracja: obwieszczenie WRON o wprowadzeniu stanu wojennego, Wikimedia Commons, domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Wydanie przywileju wileńskiego



Rozmowa z prof. **Andrzejem Zakrzewskim**

Jakie były okoliczności wydania przywileju wileńskiego?

Wydanie samego przywileju było częścią dłuższego procesu, którego celem było

unowocześnienie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Modernizacja była niezbędna nie tylko ze względu na perspektywę związku z Koroną, ale również dla spełnienia żądań litewskiej szlachty. Litwa była od ponad pół wieku poważnie zagrożona przez Moskwę. Własnymi siłami obronić się nie mogła - musiała korzystać z pomocy Korony. Ta z kolei wiele inwestowała w obronę Wielkiego

Księstwa, nie chciała i nie mogła jednak czynić tego zupełnie za darmo. Ceną za udział w wojnie z Moskwą było zacieśnienie związku z Koroną. Dlatego też Litwa, chcąc stać się równorzędnym partnerem Polski, modernizowała swój ustrój i prawo. Również szlachta litewska już od ćwierćwiecza chciała państwa rządzonego prawem, tańszego i sprawniejszego. Chciano wprowadzenia jednolitego sądownictwa szlacheckiego. Zlikwidowano więc egzempcje, czyli wyłączenia panów litewskich, którzy mieli prawo do sądu wielkksiążęcego, i poddano ich jednolitemu sądowi. Gruntownie unowocześniono prawo, tworząc II statut litewski. Jednym z elementów takich reform był przywilej wileński.

Co było istotą przywileju i w jaki sposób kształtował on Wielkie Księstwo Litewskie?

Zagmatwaną sieć województw i powiatów uporządkowano, właśnie na wzór koronny. Państwo podzielono na województwa, składające się z kolei z powiatów. Na czele urzędniczej hierarchii województwa stali senatorowie: wojewoda i kasztelan, powiatu zaś - marszałek powiatowy i podkomorzy. Wyjątkami były powiaty wileński i trocki, gdzie najwyższym urzędnikiem był ciwun. W każdym powiecie istnieli starostowie, w stolicach województw zaś funkcje ich pełnili wojewodowie. Po unii lubelskiej odrębni starostowie stołecznych powiatów województw istnieli tylko w województwach brzeskim, mińskim i mścisławskim. W powiatach będących stolicami województw nie było marszałka.

W Wielkim Księstwie powiat był również okręgiem wojskowym: szlachta zbierała się w czasie pospolitego ruszenia pod chorągwią powiatową. W powiecie urządował starosta sprawujący też jurysdykcję w postaci sądu grodzkiego. Sprawy graniczne rozstrzygać miał sąd

podkomorski. Tam też przewidziano istnienie sądu ziemskiego, wybieranego przez szlachtę i mianowanego przez hospodara. W praktyce z obsadą ziemskich urzędów sądowych w okresie tworzenia nowej struktury sądownictwa bywało różnie: w nowych sądach ziemskich niekiedy zasiadał skład dawnych sądów mianowany przez dawnych urzędników, niekiedy zaś zasady reformy rychło wchodziły w życie.

Powiat był również okręgiem sejmikowym, właśnie wedle przywileju z 30 grudnia 1565 r. ustanowiono w nim sejmiki: "tym że przykładom i poriadkom, jako na takich sojmiech powietowych sprawa, postupok i obyczaj zachowywajetsia w panstwie naszym Koronie Polskiej". Wszystko to stworzyło przesłanki do ujednoczenia administracji Wielkiego Księstwa Litewskiego w sposób niespotykany w Koronie, gdzie powiat był wyłącznie okręgiem sądowym. W rezultacie litewski powiat stał się jednostką administracyjną, sądową, wojskową, sejmikową i samorządową osiadłej w nim szlachty, województwo zaś - jednostką nadrzędną. Taka racjonalna organizacja bardzo wyraźnie i korzystnie odróżniała Litwę od Korony. Właśnie dlatego Augustyn Rotundus Mielecki, w polemice ze Stanisławem Orzechowskim, wspominał o Litwie jako o swej "z dawna zasadzonej a porządnej rzeczypospolitej".

Jak wyglądał podział terytorialny Litwy przed wydaniem tego przywileju?

Wielkie Księstwo Litewskie powstało w wyniku ekspansji terytorialnej bitnych Litwinów, którzy opanowywali ziemie Rusi. Pomogła im w tym obawa ludności ruskiej przed Mongołami. Litwa składała się z Auksztoty i Żmudzi oraz dzielnic ruskich. Dzielnice te, na podstawie nadanych im przywilejów, miały daleko idącą autonomię. Tak więc państwo było mozaiką regionów o zróżnicowanym prawie, ustroju i tradycjach. Kolejni

władcy - Witold, Kazimierz Jagiellończyk, aż do Zygmunta Augusta - starali się zunifikować Wielkie Księstwo. Odbywało się to stopniowo, pod dość mylącym hasłem: "My stariny nie ruchajem i nowiny nie uwodim", czyli "My nie ruszamy tradycji i nie wprowadzamy nowości". Ostatnim krokiem unifikacji był właśnie ów przywilej.

Jakie były perspektywiczne skutki przywileju?

Zracjonalizował zarządzanie państwem, oddał szlachcie - przynajmniej w założeniu - wpływ na obsadę sądu ziemskiego i podkomorskiego. W efekcie całkiem wyraźnie odróżnił Litwę od Korony, która aż do Sejmu Wielkiego była praktycznie mozaiką różnej wielkości województw i ziem o genezie historycznej. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że w XVIII

wieku, w epoce stanisławowskiej, usiłowano poprawić Koronę na wzór litewski. Całkowicie nie udało się tego dokonać.

Czy przywilej wileński był spełnieniem postulatów szlachty litewskiej?

Był jednym z jej postulatów. Walka o spełnienie innych toczyła się prawie półtora stulecia, aż do *coaequatio iurium* po śmierci Jana III. Natomiast spełnił dążenia elity władzy, która jeśli już musiała przystąpić do ściślejszego związku z Koroną, chciała to uczynić, jak to nazwał trzy lata wcześniej na sejmie warszawskim Mikołaj Radziwiłł Czarny, "cum Respublica sua bene ordinata", czyli "jako państwo dobrze urządzone". Jednym z elementów tego dobrego urzędzenia państwa był przywilej wileński.

Prof. **Andrzej Zakrzewski** - dyrektor Instytutu Historii Prawa Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, zajmuje się badaniami ustroju Litwy XVI-XVIII wieku, specjalizuje się w historii administracji.

K. G.

Ilustracja: pieczęć Wielkiego Księstwa Litewskiego, Wikimedia Commons, domena publiczna.



Jan Długosz

Rozmowa z prof. dr hab. Marią Koczerską, mediewistką, badaczką dziejów Kościoła w średniowieczu, na temat przypadającej w 2015 roku 600. rocznicy urodzin Jana Długosza.

Muzeum Historii Polski: W 2015 roku przypada 600. rocznica urodzin Jana Długosza. Z tego też powodu, w uznaniu jego wszechstronnych zasług jako historyka, kronikarza, dyplomaty, hojnego mecenasa i wychowawcy synów królewskich, sejm Rzeczypospolitej podjął uchwałę o ustanowieniu roku 2015 rokiem długoszowskim. W tekście uchwały pojawia się tradycyjnie przypisywane Długoszowi określenie „ojciec polskiej historiografii”. Dlaczego to akurat jemu przypisuje się to miano? Na czym polega niezwykłość jego dzieła na tle wcześniejszych polskich kronik oraz w jaki sposób dzieło wpisuje się w europejską twórczość dziejopisarską swojej epoki?

Profesor Maria Koczerska: „Roczniki Królestwa Polskiego” pióra Jana Długosza są dziełem znakomitym, ale wyrosły na gruncie już przygotowanym przez różne wcześniejsze utwory: żywoty świętych Wojciecha i Stanisława; liczne, choć lakoniczne roczniki; kroniki: Galla Anonima, Mistrza Wincentego Kadłubka i Dzierzwy, Kronikę wielkopolską. Czyli Jan Długosz nie działał w próżni, ale jego Roczniki swoim zakresem czasowym - od bajecznych początków Polski do roku



śmierci ich autora w 1480 r., bogactwem treści i wykorzystaniem różnych źródeł wcześniejszych i współczesnych oraz jakością warsztatu historyka przyćmiły inne utwory.

Tym, co wyróżnia „Roczniki” Długosza wśród innych wcześniejszych i współczesnych europejskich utworów

historiograficznych jest m. in. szeroki chronologiczny i geograficzny zakres dzieła. Gdy inni historycy, piszący często na zamówienie władcy, z którego dworem byli związani, koncentrowali się na wydarzeniach swoich czasów, mało miejsca przeznaczając na historię wcześniejszą, Długosz starał się odtworzyć całość historii Polski („corpus perpetuae historiae”) na tle dziejów sąsiadów i papieżstwa. Być może u początku jego zamysłu dziejopisarskiego leżało stworzenie historii swojego wieku („nostra aetas”), ze szczególnym uwzględnieniem „gesta Sbignei”, czyli - według hipotezy Ignacego Zarebskiego - opisu czynów protektora Długosza - Zbigniewa Oleśnickiego biskupa krakowskiego w latach 1423-1455 i kardynała od 1449 r. Jednak ostatecznie Długosz opisał dzieje Polski od czasów legendarnych do końca swych dni. W jego „Rocznikach” czasy mu współczesne, zaczynają się od 1410 r. - daty bitwy pod Grunwaldem i stanowią około połowy dzieła. Aby opisać dzieje wcześniejsze Polski Długosz wykorzystał prawie wszystkie znane nam obecnie źródła historyczne: kroniki, roczniki, żywoty świętych i pewne pojedyncze źródła, które do naszych czasów nie dochowały się. Poza tym często i szeroko cytował dokumenty, które znajdował w archiwach: książęce, królewskie, papieskie, dotyczące fundacji, traktatów pokojowych, zawierające przywileje dla społeczeństwa świeckiego i instytucji kościelnych. Postępował zatem tak, jak my historycy teraz żyjący postępujemy, ceniąc szczególnie ten rodzaj źródeł historycznych. Warsztat naukowy Długosza był nowoczesny również dlatego, że zgromadził na początku pracy ruchomą kartotekę z wypisami źródłowymi, ułożoną w porządku chronologicznym. Autorką, która szczególnie starannie zbadała zagadnienia warsztatu badawczego Długosza i etapów powstawania „Roczników” była Wanda Semkowicz-Zarembina.

Jako wzory literackie wykorzystywał Długosz dzieła autorów starożytnych, zwłaszcza Liwiusza i Swetoniusza, ubolewając, że styl jego nie ma Tuliuszowego, czyli cyceńskiego powabu. Dla czasów mu współczesnych czerpał z wielu dzieł obcych, takich jak „De scismate” Teodoryka z Nieheim, „Historia Bohemica” humanisty włoskiego Eneasza Sylwiusza Piccolominiego, relacji o kampanii antytureckiej 1444 r., spisanej przez legata papieskiego na Węgrzech Andrzeja de Palatio. W 1464 r., pertraktując z ramienia króla z krzyżakami podczas wojny trzynastoletniej kazał sobie przetłumaczyć z niemieckiego na łacinę kroniki pruskie. Mając głowę przyprószoną siwizną uczył się języka ruskiego, by móc studiować ruskie latopisy. Wszystko to, aby przedstawić dzieje polskie na tle historii sąsiadów i najważniejszych wydarzeń z dziejów cesarstwa i papieżstwa. W przedmowie do „Roczników”, będącej listem dedykującym je nieżyjącemu już protektorowi i inspiratorowi dzieła kardynałowi Oleśnickiemu wielokrotnie nawraca do kwestii prawdy w przedstawieniu dziejów, chociaż zdaje sobie sprawę, że nieraz jego relacja o minionych wydarzeniach nie jest pewna, lecz tylko prawdopodobna. Długosz twierdzi też, że nigdy nie splamił się pochlebstwem lub potwarzą w stosunku do kogokolwiek. To stwierdzenie jest prawdziwe również w stosunku do panującej dynastii. Werystyczny charakter Długosza i niechęć do dynastii jagiellońskiej spowodowały, że jego dzieło ani za Jagiellonów, ani za Wazów nie zostało opublikowane drukiem. Z drugiej jednak strony jednym z motywów stworzenia „Roczników Królestwa Polskiego” przez Jana Długosza było przekazanie rządzącym, a zwłaszcza rządzącej dynastii - swoim wychowankom - synom Kazimierza Jagiellończyka wzorów do naśladowania i portretów osób negatywnych dla ich unikania. Całe dzieło jest przesiąknięte tendencją moralizatorską i z tego powodu charakterystyki postaci

historycznych wydają się wyłącznie czarno-białe.

MHP: Nie mniej istotną, choć nieco mniej znaną od „Roczników...” jest pozostała, obfita przecież i różnorodna, twórczość pisarska Długosza. Jest on m. in. autorem dzieła „Chorographia Regni Poloniae”, poświęconego geografii Królestwa Polskiego. Czy będzie zatem zasadne powiedzenie, że był również „ojcem polskiej geografii”? Czy mogłaby Pani pokrótce scharakteryzować tę pracę Długosza?

MK: „Chorografia”, czyli opis geograficzny Polski, Rusi i Wielkiego Księstwa Litewskiego powstała co prawda osobno, ale została w trzeciej - ostatniej redakcji „Roczników” dołączona do nich przez samego Jana Długosza i poprzedza teraz to dzieło, stanowiąc jego wstęp. Opis geograficzny kraju, którego dzieje autor średniowieczny zamierzał przedstawić, często pojawiał się w różnych zabytkach dziejopisarskich. Tym, co wyróżnia „Chorografię” Długosza jest objęcie tym opisem całego współczesnego Długoszowi państwa jagiellońskiego oraz utraconego w XIV w. Śląska. Trzeba również dodać, że w „Chorografii” znajduje się również wywód genealogiczny Polaków, a w swej partii końcowej opis geograficzny przechodzi płynnie w przedstawienie dziejów bajecznych Polski. W opisie geograficznym uderza szczegółowość opisu hydrografii (rzek i jezior) całego wielkiego państwa, chociaż najdokładniej opisana została Małopolska, którą Długosz znał najlepiej. Z ramienia biskupa Oleśnickiego, w którego imieniu sprawował nadzór nad dobrami biskupimi, a po śmierci Oleśnickiego w 1455 r. - z ramienia kapituły katedralnej krakowskiej, której był członkiem już w 1436 r. - wizytował często dobra kościelne diecezji krakowskiej i posiadał o nich gruntowną wiedzę. Warto wspomnieć, że Długosz był także autorem księgi uposażeń beneficjów diecezji krakowskiej („Liber beneficiorum

diocesis Cracoviensis”), w której opisał beneficja należące do katedry krakowskiej i kolegiat oraz parafii i klasztorów. Nad „Liber beneficiorum” Długosz pracował w ostatnim dziesięcioleciu swego życia. Opisy opierają się na schemacie, który podawał liczbę łąnów jakichś dóbr i czynsze lub dziesięciny płacone ich duchownemu użytkownikowi w danym czasie, a także robocizny, daniny w naturze, np. drób, sery, jajka itp., które przysługiwały danemu duchownemu od ludności chłopskiej. Długosz podawał w Liber beneficiorum również inne ważne informacje np. o szlacheckich właścicielach dóbr należących do parafii. Te służą dziś historykowi do badań genealogicznych i heraldycznych. Długosz dokonał tego opisu na podstawie dokumentów i wcześniejszych inwentarzy oraz przekazując ankiety do wypełnienia. Wcześniej - w 1440 r. sporządził na polecenie Oleśnickiego niezachowany obecnie inwentarz dóbr stołu biskupiego, czyli tych dóbr, z których dochody szły na utrzymanie biskupa i jego dworu, jak również na potrzeby ściśle kościelne, np. remont katedry i fundacje biskupie.

MHP: Długosz był nie tylko historykiem, lecz także (a może przede wszystkim?) duchownym. Czy znajomość jego pism upoważnia do rekonstrukcji jego duchowości? Jak wiele możemy powiedzieć o religijności Długosza i jego działalności jako kapłana? Jaka rolę odgrywał w środowisku krakowskiej kapituły katedralnej?

MK: Długosz traktował bardzo poważnie swoje obowiązki wynikające z przynależności do stanu duchownego. Dochody z posiadanych prebend przeznaczał w dużym stopniu na fundacje pobożne związane z danym beneficjum. Wybudował murowane kościoły parafialne w miejscowościach, związanych z posiadanymi przez niego prebendami: w Chotlu Czerwonym, Odechowie,

Raciborowicach. Fundacja kościoła w Szczepanowie - miejscowości będącej według legendy miejscem urodzin św. Stanisława, wynikała z kultu, którym Długosz otaczał patrona katedry krakowskiej i całego królestwa. Jego fundacjami są też trzy domy dla niższego duchowieństwa, na którym głównie spoczywały obowiązki liturgiczne, a mianowicie dla wikariuszy kolegiaty wiślickiej, mansjonarzy (księży, którzy śpiewali godzinki ku czci NMP) i psalterzystów katedry wawelskiej. Dwa pierwsze domy zachowały się do dziś dnia, tylko psalteria na Wawelu została zburzona w połowie XIX w. Wszystkie wymienione budowle były murowane z cegły, z wyjątkiem pierwszego chronologicznie (1450 r.) kościoła w Chotlu Czerwonym, który został wybudowany z ciosów kamiennych. Pozostałe miały z kamienia tylko takie detale jak obramienia okien i drzwi. Wszystkie budynki były mało ozdobne, a bardzo funkcjonalne. Wiadomości o urządzeniu domów dla duchowieństwa czerpiemy nie tylko z dzisiejszego wyglądu domów w Wiślicy i Sandomierzu, bliźniaczo do siebie podobnych, ale również z „Liber beneficiorum”. Szczególnie dokładny jest opis wyposażenia domu wiślickiego, skąd wiemy, że oprócz izb mieszkalnych znajdowała się tam duża sala - refektarz, biblioteka, kuchnia, łaźnia, toaleta i studnia. Do fundacji pobożnych należą też Długoszowe krakowskie fundacje uniwersyteckie (Bursa Kanonistów i rozbudowana przez niego Bursa Ubogich Artystów), ponieważ uniwersytety w jego czasach były instytucjami, w których nauczali (z wyjątkiem medycyny) profesorowie stanu duchownego, a absolwenci najczęściej wybierali karierę duchowną. O typie jego pobożności świadczą również dwa żywoty świętych polskich Stanisława i Kingi zachowane w oryginale, jak również informacje z biografii Jana Długosza. Jej anonimowy autor - na pewno jednak nie Kallimach, lecz kolega Długosza spośród członków

kapituły katedry krakowskiej - podaje bardzo cenną informację, że Długosz żywił kult Męki Pańskiej. Zgadza się to z typem pogłębionej pobożności ludzi późnego średniowiecza. Długosz związany był bardzo z kapitułą katedry krakowskiej. Jako jej pełnomocnik często uczestniczył w synodach prowincjonalnych w Łęczycy i był delegatem na zjazdy generalne (sejmy) szlachty polskiej w Piotrkowie. Ze względu na swoją znajomość uposażenia poszczególnych prebend był arbitrem w sporach o uposażenie i granice należących do nich posiadłości.

MHP: Jednym z istotniejszych faktów w biografii Jana Długosza jest jego służba na dworze królewskim – jako dyplomaty oraz wychowawcy synów króla Kazimierza Jagiellończyka. Co wiemy na temat jego działalności w tym zakresie? Czym zajmował się Długosz jako królewski poseł? Jakim był wychowawcą dla królewiczów i czy wiemy coś o programie pedagogicznym, który realizował?

MK: Długosz został mianowany wychowawcą synów królewskich 1 października 1467 r., ale już 21 października przybył wraz z dwoma świeckimi panami do Czech w poselstwie od króla Kazimierza Jagiellończyka do Jerzego z Podiebradu, gdzie pozostawał do początku 1468 r. Wynika stąd, że otrzymawszy tę zaszczytną funkcję działał w dalszym ciągu jako dyplomata królewski. Pozostając wychowawcą królewiczów do końca swego życia, nie zaprzestaje dotychczasowej całej swojej aktywności życiowej - dogląda postępu prac budowlanych wyżej wspomnianych domów dla duchowieństwa i kościołów, sprowadza w 1472 r. zgromadzenie paulinów do krakowskiego kościoła na Skałce, realizuje u schyłku życia nieudaną fundację kartuzów pod Krakowem, w latach 1470-1480 tworzy „Liber beneficiorum” i kontynuuje do końca swych dni pisanie i redagowanie

„Roczników”. Czyli wychowanie królewiczów było jednym z wielu pól jego działalności. Jest on bardziej kierownikiem procesu ich nauczania niż jedynym nauczycielem. Powinniśmy pamiętać, że w latach siedemdziesiątych pojawia się na dworze królewskim Filip Kallimach i on też zostaje włączony do grona nauczycieli królewiczów. Nie chcę w ten sposób sugerować, że Długosz lekcewał zaszczepny obowiązek wychowawcy królewiczów. Bynajmniej! Znany lektury humanistyczne Długosza, które służyły mu do celów dydaktycznych lub uzupełniały jego własne wykształcenie, takie jak np. dzieła humanisty włoskiego - doskonałego latynisty i sekretarza papieża Mikołaja V Poggia Braccioliniego i wielu innych. Wydaje się jednak, że Długosz starał się przede wszystkim przekazać swoim wychowankom obraz dziejów Polski i jej władców. Być może czytał im fragmenty swoich Roczników. Uczył ich też sztuki niezbędnej dla władców, a mianowicie umiejętności przemawiania. Potem cieszył się, gdy jego wychowankowie witali przemówieniami swego ojca - Kazimierza Jagiellończyka lub legata papieskiego.

Jak już wspomniałam, Długosz służył Polsce i królowi poprzez wypełnianie misji dyplomatycznych. Rozpoczął tę służbę podczas wojny trzynastoletniej, uczestnicząc w 1457 r. w polskiej delegacji, która pertraktowała z czeską załogą Malborka na żoździe krzyżackim w celu wykupienia zamku i przejścia go pod władzę Kazimierza Jagiellończyka. Po opisywanym już okresie konfliktu Długosza z królem w latach 1461-1463 Długosz wrócił do królewskiej służby dyplomatycznej w Prusach w 1464 r. i zasłużył się przy przygotowywaniu traktatu pokojowego między Polską a

państwem Zakonu Krzyżackiego, czyli pokoju toruńskiego z 1466 r. Był też stale wykorzystywany przez króla w poselstwach do husyckich Czech i Królestwa Węgier pod panowaniem Macieja Korwina. Towarzyszył w tych poselstwach świeckim dyplomatom, którym służył swą erudycją w wynajdywaniu argumentów z przeszłości dla współczesnej polityki.

MHP: W 1880 r. Długosz, jako pierwszy, został pochowany w Krypcie Zasłużonych w kościele na krakowskiej Skalce. Świadczy to o tym, że jego dziedzictwo było ważne i cenne dla galicyjskich elit z drugiej połowy XIX w. Czy uważa Pani, że dziś, po 135 latach od przeniesienia szczątków dziejopisa do tej krypty, jest ono wciąż istotne nie tylko dla mediewistów, lecz także dla polskiej kultury jako całości?

MK: Nie mam wątpliwości, że Jan Długosz należy do ludzi najbardziej zasłużonych dla kultury narodowej. Jego „Roczniki” stanowią świadectwo pamięci o dziejach dawnych i oceny własnej epoki przez polską elitę intelektualną i polityczną w XV wieku, w którym Polska znajdowała się w okresie przyspieszonego rozwoju we wszystkich dziedzinach. Stały się też podstawą i źródłem wiadomości dla późniejszych dziejopisarzy: Macieja z Miechowa, Marcina Kromera i ich następców, którzy zmieniali Długoszową koncepcję dziejów, ale nie doścignęli go w staranności zbierania źródeł. Sławę wiekopomną zyskały mu właśnie „Roczniki”, które stale odczytujemy i na nowo, szukając w nich czegoś innego niż nasi poprzednicy - historycy XIX i XX wieku - tego, co interesuje w historii współczesnego człowieka.

Rozmawiała Iwona Jesionowska

Ilustracja: Portret Jana Długosza, Walery Eljasz-Radzikowski. [Domena publiczna](#).

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Furia ludzi północy – dzieje świata wikingów

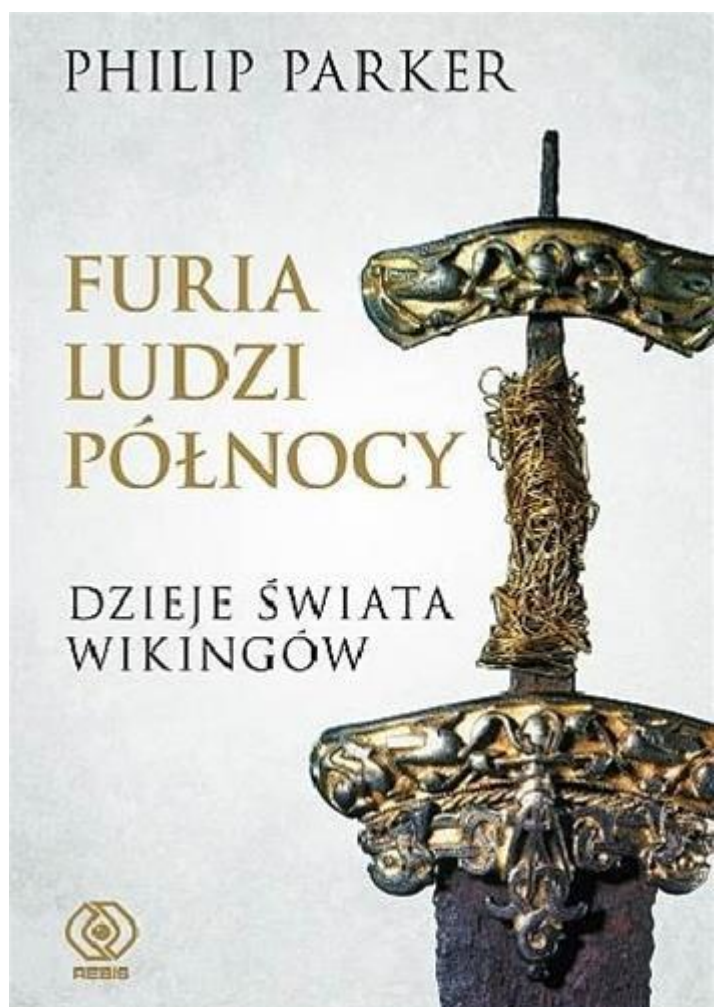
Wikingowie nie byli wyjątkowo brutalni. Przemoc w ich społeczeństwie była po prostu zjawiskiem pospolitym - dowodzi Philip Parker w książce "Furia ludzi północy - dzieje świata wikingów", która ukazała się nakładem wydawnictwa Rebis. Autor w zwarty sposób przedstawia historię ich kultury i podbojów.

Kim byli wikingowie? Tak sformułowane pytanie nie jest właściwe, gdyż nie jest to określenie nacji, ale "piratów albo ludzi, którzy wybrali życie morskogo rozbójnika (czyli jak mawiano, poszli +na wiking+)" - czytamy w książce. Dotyczy tylko grup, które rozpoczynały swoje wyprawy ze Skandynawii od końca VIII do XI w.

Znakiem rozpoznawczym wikingów ma być ich okrucieństwo, ale według autora nie różnili się pod tym względem od współczesnych im przedstawicieli nawet z bardziej zorganizowanych tworów państwowych. Według Parkera fakt, że przybywali niespodziewanie "znikąd" i byli początkowo ludem nieznanym potęgował strach i grozę. Ta widoczna jest w opisach z epoki.

Zagadką pozostają dla badaczy powody tych nagłych najazdów, które trapiły wiele części Europy. Śmiałe wypady przyczyniły się też do odkrycia nieznanymi lądów, w tym Ameryki. Podobnie jak w przypadku wielu zdarzeń w historii, trudno o jedną, jasną odpowiedź na to pytanie. Zdaniem Parkera jedną z przyczyn mogło być przeludnienie, które doprowadzić miało do ostrej walki o zasoby. W tym samym czasie na terenie Europy zaczęła powstawać sieć powiązań handlowych, którego oś stanowiły ośrodki wymiany produktów - zatem zachętą mogła być chęć zysku w czasie wymiany, a nie niedostatek w rodzimej krainie. Przyczyną śmiałych i krwawych najazdów było też udoskonalenie techniki skutniczej i wykorzystanie obok wioseł, siły wiatru jako napędu.

Jednak to raczej śmiałość i tytułowa "furia" spowodowała, że wikingowie poczynili odkrycia geograficzne, np. dotarli do Ameryki, a nie jakaś zaawansowana technologia skutnicza i



nawigacyjna - przekonuje autor. Potwierdzają to opisy zawarte w sagach, czyli staroskandynawskich dziełach epickich, przybliżających losy wybitnych rodów. Bjarni Herjólfsson, który jako pierwszy Europejczyk ujrzał Amerykę myślał początkowo, że ma przed sobą Grenlandię. Naddod natrafił jako pierwszy wiking na Islandię zniesiony przez silny sztorm. W podobnych okolicznościach Gunnbjørn Ulf-Krakuson ujrzał jako pierwszy Europejczyk Grenlandię.

Trwa dyskusja, na ile wikingowie wpływali na początki dziejów państwa polskiego, ale temat ten zdaje się być raczej czczym życzeniem - dlatego w zasadzie nie ma słowa na ten temat w książce Pakera. Są jednak inne europejskie kraje, na których wikingowie odcisnęli bardzo silne piętno, np. Wielka Brytania. "Zarówno w Anglii, jak i w Szkocji najazdy wikingów tak osłabiły większość rodzimych konkurentów do władzy, że w obu krajach paradoksalnym rezultatem ich grabieży stało się powstanie jednego zjednoczonego królestwa" - pisze Parker. Zwraca uwagę na "genetyczny wkład" wikingów w niektórych regionach Szkocji, północnej Anglii i Irlandii, jak i dominację "wikińskich genów" na Islandii. Wojowniczy żeglarze ze Skandynawii wpłynęli też na język podbijanych krain - zarówno angielski, irlandzki jak i francuski.

Paradoksalnie, centralizacja i wzmocnienie władzy w Skandynawii przyczyniła się do kresu awanturniczych wypraw morskich. Wikińska legenda odżyła na fali nastrojów nacjonalistycznych w Skandynawii w XIX w. W 1811 r. w Sztokholmie powstało Towarzystwo Gockie, które promowało kulturę wikińską, recytując poematy i pijąc miód z rogów. A jego założycielami byli... naukowcy. Dziś wikingomania nadal ma się bardzo dobrze, ale teraz dzięki kulturze masowej, m.in. serialowi "Wikingowie".

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

15-12-1981
SOSNOWIEC PAMIĘTA

PREZYDENT MIASTA SOSNOWCA
ARKADIUSZ CHĘCIŃSKI
ZAPRASZA NA

**KONCERT Z OKAZJI
35. ROCZNICY
WPROWADZENIA
STANU WOJENNEGO**

SZTYWNY PAL AZJI

Kobranocka®

RUŻE EUROPY

Prastara Nowa Huta

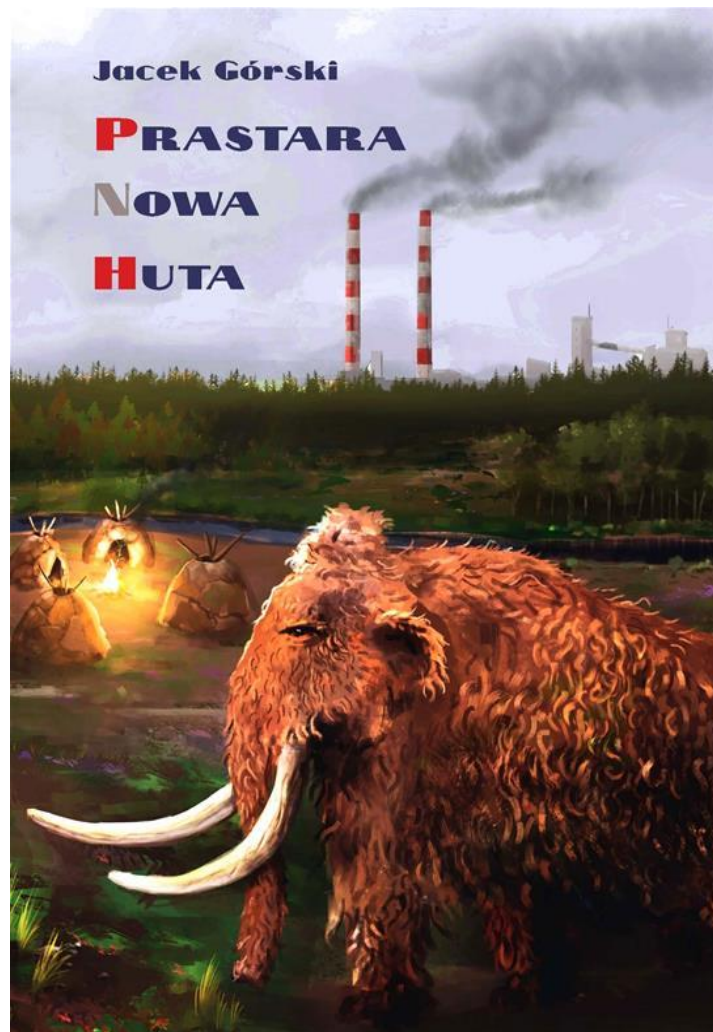
Czym jest "archeologiczne UFO"? Dlaczego średniowieczne arabskie monety znalezione w Polsce można określić mianem "euro"? Jak wyglądały domy pierwszych Słowian? - na te i wiele innych pytań odpowiada książka "Prastara Nowa Huta" autorstwa archeologa, dr. Jacka Górskiego.

Publikacja umożliwia wgląd w życie dawnych mieszkańców obecnych terenów Polski z perspektywy jednej z dzielnic Krakowa, która w powszechnej świadomości kojarzona jest z czasami socjalizmu.

Teksty opublikowane w książce "Prastara Nowa Huta" ukazały się pierwotnie w lokalnym nowohuckim tygodniku w ramach cyklu "Skarby Muzeum Archeologicznego w Nowej Hucie" w latach 2009-2010. W książce znajduje się ich wybór w postaci 60 krótkich tekstów, poruszających bardzo różne tematy dotyczące dalszych lub bliższych dziejów Nowej Huty - dzielnicy Krakowa.

Intensyfikacja badań w tym rejonie nastąpiła wraz z budową nowej dzielnicy stolicy Małopolski i samego kombinatu metalurgicznego pod koniec lat 40. i 50. ubiegłego wieku. Do dzisiaj archeologom udało się odkryć ok. 140 stanowisk, czyli miejsc, w których znajdują się materialne pozostałości po odległej działalności człowieka. Najczęściej są to fragmenty rozbitych naczyń ceramicznych lub wyroby krzemienne. Obszar ten jest jednym z najlepiej przebadanych terenów pod względem archeologicznym w Polsce - przekonuje na kartach książki dr Jacek Górski.

Oprócz ogólnego obrazu najdawniejszych społeczności zamieszkujących północno-wschodnią część Krakowa, dzięki lekturze poznamy też częściowo arkaana pracy archeologów. Dowiemy się również, że nawet specjaliści zajmujący się zawodowo danym okresem bywają bezradni przy próbach identyfikacji zabytków: "Zdarza się (...), że wydobywamy z ziemi zabytek dobrze zachowany, niekiedy nawet w całości. Ma on określony



kształt i wymiary, ale jego przeznaczenie i funkcja nie są nam znane. Wtedy często mówimy, że jest to +przedmiot kultowy+, takie archeologiczne UFO." Dr Górski opisał w książce jeden z takich zagadkowych zabytków - to duże naczynie ceramiczne sprzed 5 tys. lat o bardzo złożonej formie. Badacz przypuszcza, że mogło być używane w czasie obrzędów odprawianych podczas prahistorycznych dożynek.

Prawdziwą rewolucję w wielu dziedzinach życia przyniósł napływ 2300 lat temu na obszar dzisiejszej Nowej Huty Celtów - kilka rozdziałów książki poświęconych jest innowacjom, które ludność ta wprowadziła na naszych ziemiach. Dr Górski wylicza m.in. umiejętność toczenia naczyń na kole (dotąd formowano je w rękach), wprowadzenie do gospodarki rolnej żelaznych sierpów i kos czy żaren obrotowych do mielenia mąki. W lokalnym muzeum w Branicach znajduje się jedna z największych kolekcji zabytków w Polsce związanych z obecnością tego ludu - przekonuje archeolog.

Kilkaset lat po Celtach na ten sam teren przybyli Słowianie - stało się to na przełomie V i VI w. n.e. Na obszarze Nowej Huty badacze natknęli się na kilkanaście świetnie zachowanych drewnianych domostw z tego okresu. Badaczom udało się zrekonstruować ich wygląd - barwne rysunki, które je przedstawiają chaty naszych przodków znajdują się również w książce.

Inną ciekawostką dotyczącą okresu średniowiecza opisaną przez dr. Górskiego jest fenomen występowania w Nowej Hucie egzotycznych na tym terenie monet arabskich - w jednym przypadku naukowcy zidentyfikowali nawet mennicę. Była to Samarkanda w dzisiejszym Uzbekistanie. Skąd monety z tak odległego rejonu w Polsce? "Otóż w IX, zwłaszcza w X w., moneta arabska na rynkach europejskich pełniła rolę pieniądza światowego. To takie dolary lub euro czasów wczesnośredniowiecznych. W tym czasie na ziemiach Polski nie wprowadzono jeszcze do obiegu miejscowych monet - żaden władca nie był na tyle silny i suwerenny, by zdecydował się na taki krok" - odpowiada dr Górski.

Autor, dr Jacek Górski, przez wiele lat kierował nowohuckim oddziałem Muzeum Archeologicznego w Krakowie w Branicach. Obecnie pełni funkcję dyrektora muzeum.

Książka ukazała się nakładem wydawnictwa Profil-Archeo.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdzieblowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Chwila zadumy...



W dzisiejszym czasie, w dobie XXI wieku, gdy niemal powszechny stał się dostęp do telefonów komórkowych i internetu – galopująca technika daje nam nieskończenie szybkie i różnorodne sposoby komunikowania się, rzadko kto zastanawia się jakie były tego początki...

Ludzie z odległych miast a nawet państw komunikowali się ze sobą niemalże od zarania dziejów-sposoby były coraz bardziej „nowatorskie”, jednym z podstawowych sposobów komunikacji międzyludzkiej był list, w miarę rozwoju cywilizacji, powstawania nowych grup społecznych i uatrakcyjniania metod korespondencji była kartka pocztowa.

Pierwszą próbę takiej „otwartej” / przesyłanej bez użycia koperty / korespondencji przeprowadzono w dniu 1 października 1869 roku-inicjatorem tej ówczesnej innowacji była poczta austriacka. Wprowadzenie próby tej formy

korespondencji w roku 1865 i 1868 w Niemczech zostały przez tamte władze pocztowe stanowczo odrzucone.

W roku 1875 kartę pocztową formalnie usankcjonowano jako formę kontaktu korespondencyjnego.

Początkową formą korespondencji przed pocztówkowej były karty korespondencyjne / Correspondenz-Karte / -głównie były one bez nadruku, ewentualnie posiadały niewielką ozdobę graficzną.

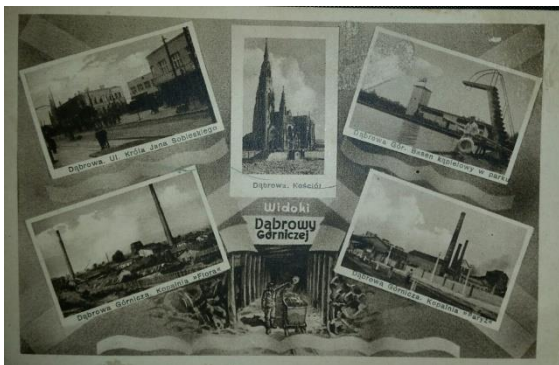
W konkursie ogłoszonym w 1900 roku na polską nazwę „karty korespondencyjnej”

wygrał pomysł Henryka Sienkiewicza, który to zaproponował nazwę „pocztówka”

Za pierwszą polską pocztówkę-uważana jest kartka z widokiem Śnieżki datowana na 23 lipiec 1873 roku.

Początkowo pocztówkę mógł wydać każdy i każdy u miejscowego fotografa-dysponującego odpowiednim rodzajem papieru fotograficznego-mógł ją mieć.

Pocztówki najczęściej zaś wydawali kupcy, właściciele hoteli i gospód a także określone organizacje dobroczynne i grupy społeczne.



Wraz z uprzemysłowieniem i rozwojem przestrzennej infrastruktury miast, pocztówki wydawane były również z widokami miast. Niemal każde miasto w Polsce na całym świecie-mogło pochwalić się swoją pocztówką. Nowoczesny jak na owe czasy trend, nie ominął i naszego miasta-Dąbrowy Górniczej. Z dąbrowy znanych jest około 500 różnych widokówek, za najstarszą widokówkę z naszego miasta uważa się kartkę przedstawiającą dzisiejszą ulicę Sobieskiego datowaną na 1899 rok.

W latach 1900-1910 pocztówka cieszyła się szczególną popularnością, miarą tej ogromnej popularności pocztówki stał się fakt iż już po niecałym ćwierćwieczu swojego funkcjonowania w życiu publicznym stała się obiektem kolekcjonerstwa a w roku 1900 doczekał się I Krajowej Wystawy w Paryżu – wystawiono wówczas 150.000 pocztówek z całego świata.

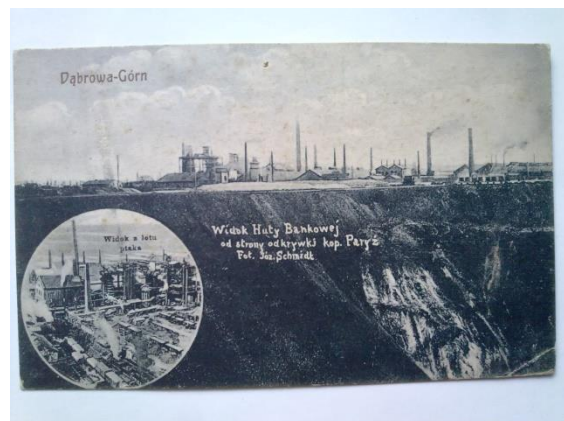
Sam również jestem kolekcjonerem pocztówek z widokówek z naszego miasta, w swej kolekcji posiadam ponad 350szt widokówek w tym ponad 110szt to wzory pochodzące z przed 1945 roku.

Może jest wśród czytelników tego artykułu ktoś o podobnych zainteresowaniach, posiada jakieś widokówki z naszego pięknego miasta lub chciałby wymienić się refleksjami na ich temat-serdecznie proszę o kontakt telefoniczny 0-501-985-369.

Pocztówka towarzyszyła Dąbrowie przez wszystkie jej lata rozbudowy, uwieczniała swym wizerunkiem powstawanie różnych obiektów w naszym mieście.

Prekursorami wydawniczymi pocztówek z Dąbrowy byli m. Bracia Altman, Adolf Żmigrod, Roman Brandys, Kazimierz Kostrzeński, i Jan Rowiński.

Pierwsze pocztówki z Dąbrowy wykonywane były techniką jednobarwnego drzeworytu, z czasem zastosowano coraz to bardziej nowoczesne techniki jak litografia i światłodruk, lecz obrazy z na pocztówkach nie były zbyt szczegółowe-dopiero zastosowanie druku z klisz trójbarwnych pozwoliło na znaczną poprawę wyglądu pocztówek.



Dąbrowskie pocztówki wyróżniały się różnorodnością barw, kolorów i pięknem tematycznym.

W 1920 roku wydano dla Towarzystwa Francusko-Włoskiego zestaw 21 pocztówek Dąbrowskich kopalń. Na kartkach z Dąbrowy często przedstawiano

kościół Matki Boskiej Anielskiej, Hutę Bankową oraz liczne w owym czasie kopalnie - jako główne i najbardziej znaczące obiekty w tamtejszym pejzażu miasta.

Dąbrowska pocztówka towarzyszyła najważniejszym wydarzeniom w mieście – uwieczniono na niej m. pożar kopalni Cieszkowski oraz kopalni Paryż.

Dziś po prawie 110 latach Dąbrowskiej pocztówki warto jest skłonić się na chwilę refleksji, gdyż na pocztówkach tych można

ostrzec dawno już nieistniejące budowle, jak choćby kopalnię Flora, budynek koszarów na Redenie, basen kąpielowy w parku czy choćby piękny ozdobiony fontanną skwer przy ulicy Króla Jana Sobieskiego.

Biorąc do ręki starą widokówkę z wizerunkiem miasta możemy udać się w podróż w odległe czasy-i na jej podstawie pogrążyć się w chwili zadumy nad tym co kiedyś było, bezpowrotnie zginęło i już nigdy nie wróci...

Opracowanie: Robert. Winkler.

winczer@wp.pl

0 - 501-985-369



7 cudów Portugalii

Każdy kraj ma takie miejsca, z których jest szczególnie dumny. Portugalia posiada blisko osiemset zamków, pałaców, fortec, klasztorów i innych zabytków, które zasługują na uwagę. Siedem z nich dzierży zaszczytny tytuł najpiękniejszych „cudów Portugalii”.

Przy takiej ilości interesujących i zachwycających zabytków, praktycznie w każdym regionie tego słonecznego i przyjaznego kraju, wybór zaledwie **siedmiu cudów Portugalii**

(*7 Maravilhas de Portugal*) musiał być trudnym zadaniem. Tym cenniejsze są zatem miejsca, które uhonorowano tym zaszczytnym tytułem.

Zamek w Guimarães (*Castelo de Guimarães*)

Położone ok. 57 kilometrów drogi od Porto, Guimarães jest

pierwszą stolicą Portugalii i „kolebką” tego kraju. Przypomina o tym dumny napis „*Aqui nasceu Portugal*” („*Tutaj narodziła się Portugalia*”), umieszczony na fragmencie murów obronnych na placu Largo do Toural. Nad miastem góruje imponujący, średniowieczny zamek *Castelo de Guimarães*, wybudowany w X wieku na rozkaz hrabiny Mumadona Dias. Twierdza miała bronić klasztor oraz okolicznych mieszkańców przed atakami Wikingów z północy oraz Maurów przybywających z południa. **Podobno w zamku urodził się Afonso Henriques**, lennik władający hrabstwem *Portugalense*, późniejszy **pierwszy król Portugalii**, zwany Alfonsem I Zdobywcą. Tutaj też rozgrywały się heroiczne

bitwy w obronie nowopowstałego królestwa Portugalii.



Pomnik Dom Afonso Henriques stoi poniżej wzgórza, na którym wznosi się zamek, tuż obok pałacu *Paço Dos Duques De Bragança*. Na uwagę zasługuje również stare miasto, wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

<http://pduques.culturanorte.pt/pt-PT/castelo/ContentDetail.aspx>

Zamek w Óbidos (*Castelo de Óbidos*)

Pierwsze umocnienia w tym miejscu wybudowali jeszcze Rzymianie, jednak rozbudowę zamku *Castelo de Óbidos* przeprowadzili Maurowie oraz Portugalczycy, którzy wielokrotnie prowadzili tu między sobą walki. Od 1210 roku ten średniowieczny zamek stanowił tradycyjny **prezent ślubny portugalskich królów dla ich żon**, co przekładało się na obecność pary królewskiej w tym miejscu oraz rozkwit całego miasteczka. Obecnie w zamku znajduje się hotel historyczny *Pousada Castelo Óbidos*, z pokojami nazwanymi imionami królów i królowych, którzy tu niegdyś mieszkali.

Na placu przed zamkiem odbywają się znane i lubiane imprezy, takie jak *Międzynarodowy Festiwal Czekolady (International Chocolate Festival)* (kwiecień), *średniowieczny jarmark Mercado Medieval* z turniejami rycerskimi, tawernami i postaciami z epoki (przełom lipca i sierpnia) czy bożonarodzeniowe miasteczko *Óbidos Vila Natal* (grudzień). Warto przespacerować się wąskimi uliczkami miasteczka oraz wzdłuż murów obronnych Óbidos, by zobaczyć piękny widok na okolicę.

Klasztor Alcobaça (*Mosteiro de Santa Maria de Alcobaça*)

Cysterskie opactwo *Mosteiro de Alcobaça* zostało ufundowane przez wspomnianego wcześniej króla Dom Afonso Henriquesa w podziękowanie za zwycięstwo nad Maurami w bitwie pod Santarém. Klasztor szczyci się **największym, gotyckim kościołem w Portugalii**, w którym znajdują się groby kilku członków rodziny królewskiej, w tym **tragicznych kochanków**: hiszpańskiej dwórki Inês de Castro i portugalskiego księcia Pedro I, późniejszego króla Portugalii. Ich białe, misternie rzeźbione grobowce, na życzenie Pedro I, ustawiono w przeciwnych skrzydłach kościoła, tak by przy zmartwychwstaniu mogli od razu spojrzeć sobie w oczy. Warto przejść się po tutejszych kruzgankach, zajrzeć do kapitułarza, kuchni oraz pozostałych pomieszczeń klasztoru, a z łatwością przeniesiemy się myślami w odległe czasy. Klasztor znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO.



www.mosteiroalcobaca.pt

Video prezentujące miejscowość **Alcobaça**: www.youtube.com/watch?v=UjTYZX73SCw.

Klasztor w Batalha (Mosteiro de Santa Maria da Vitória)

W pobliżu miejscowości Batalha rozegrała się zwycięska, ważna dla niepodległości Portugalii bitwa pod Aljubarrota. Portugalski król João I pokonał przeważającą liczebnie armię króla Kastylii, który rościł sobie pretensje do tronu Portugalii. W podziękę za skuteczną pomoc Maryi Panny, król João I ufundował w Batalha klasztor na jej cześć – *Mosteiro de Santa Maria da Vitória*, czyli Klasztor Matki Boskiej Zwycięskiej. Budowa tego gotyckiego, misternie zdobionego klasztoru, z elementami typowego dla Portugalii stylu manuelińskiego, trwała prawie 200 lat. W środku znajdują się grobowce fundatora – króla João I, jego żony oraz dzieci, w tym **Henryka Żeglarza**, który zapoczątkował epokę portugalskich wypraw morskich i wielkich odkryć geograficznych. Warto zajrzeć do kapitułarzu, gdzie znajduje się **Grób Nieznanych Żołnierzy**, przy którym stoi warta honorowa, oraz do niedokończonych kaplic *Capelas Imperfeitas*, zachwycających pomimo swojej „niedoskonałości”. Klasztor w Batalha znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO.



www.mosteirobatalha.pt

Klasztor Hieronimitów w Lizbonie (Mosteiro dos Jerónimos)

Ufundowany przez króla Manuela I klasztor to doskonały przykład **portugalskiego stylu manuelińskiego**, którego charakteryzują finezyjne zdobienia o motywach orientalnych i morskich (m.in. liny okrętowe, koralowce). Wielkość klasztoru oraz bogactwo zdobień ukazują ówczesną potęgę Portugalii, która wzbogaciła się na zyskownym handlu produktami z Afryki i Orientu. Wnętrze kryje w sobie **grobowce rodziny królewskiej** oraz trzech ważnych postaci: podróżnika **Vasco da Gamy**, który odkrył nowy szlak morski do Indii, poety **Luisa de Camões** – autora poematu „Luzjada”, opisującego tę wyprawę, oraz grobowiec modernistycznego pisarza **Fernando Pessoa**. Z klasztorem wiąże się również



kilka ciekawostek. Budowla przetrwała silne trzęsienie ziemi z 1755 r., które zniszczyło większość budynków stolicy. Tutaj powstał przepis na słynną, lizbońską babeczkę *pastel de Belém*, której oryginalną recepturę zna jedynie kilku pracowników pobliskiej cukierni *Pastéis de Belém*. Tutaj również podpisano Traktat Lizboński reformujący Unię Europejską. Klasztor znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO.

www.mosteirojeronimos.pt

Wieża Torre de Belém

Stojąca na nadbrzeżu, dawna wieża strażnicza *Torre de Belém* to jeden z ważnych symboli Lizbony. Niegdyś broniła portu i miasta przed piratami, a obecnie stanowi świetny punkt widokowy. Z tarasu na szczycie wieży rozciąga się piękny widok na dzielnicę Belém oraz Ocean Atlantycki. Patrząc w dal, można zastanowić się, co czuli żeglarze, wyruszając stąd przed wiekami w kierunku nieznanych lądów.

www.torrebelem.pt

Pałac Narodowy Pena (Palácio Nacional da Pena)

Już z daleka widać na wzgórzu kolorowy pałac *Palácio Nacional da Pena*, będący doskonałym przykładem XIX-wiecznego romantyzmu w Portugalii. Jego obecny kształt zawdzięczamy królowi Ferdynandowi II Koburg, który przebudował zniszczony manueliński klasztor na rezydencję oraz dobudował drugie skrzydło. Od 1911 roku pałac funkcjonuje jako muzeum. Można tu zobaczyć w pełni wyposażone, królewskie apartamenty. Z tarasu na najwyższym piętrze pałacu rozpościera się daleki widok na okolicę.

Wokół *Palácio Nacional da Pena* rozciąga się niezwykle urokliwy *Parque da Pena* z egzotycznymi, pochodzącymi z czterech stron świata roślinami i drzewami, krętymi ścieżkami oraz interesującymi budyneczkami. Na uwagę zasługuje zwłaszcza drewniany domek *Chalet da Condessa d'Edla*, wybudowany przez Ferdynanda II dla swojej drugiej żony. *Palácio Nacional da Pena*, wraz z innymi zamkami, pałacami i ogrodami stanowi część krajobrazu kulturowego Sintry, wpisanej na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.



foto: © Ephoto, Uwe Aranas: cc-by-sa-3.0

www.parquesdesintra.pt/parques-jardins-e-monumentos/parque-e-palacio-nacional-da-pena/

Narodowe Muzeum Azulejo (Museu Nacional do Azulejo) – Lizbona

www.museudoazulejo.pt

W Portugalii ręcznie malowane i szkliwione płytki ceramiczne *azulejo* można spotkać na każdym kroku. Zdobią i chronią ściany domów, kościołów i innych miejsc użyteczności publicznej. Choć pierwsze *azulejo* przywieźli na Półwysep Iberyjski Maurowie, to jednak Portugalczycy uczynili z nich prawdziwe dzieła sztuki, które uznają za swój skarb narodowy. Wizyta w *Museu Nacional do Azulejo* pomoże zrozumieć tę fascynację. Dawny klasztor *Convento da Madre de Deus*, który sam w sobie stanowi atrakcję, mieści cenną kolekcję *azulejos*: od najstarszych, portugalskich płytek z końca XV wieku po współczesne dzieła ceramiczne. Można zobaczyć, jak – wraz z rozwojem tej dziedziny sztuki – zmieniały się techniki wytwarzania *azulejos*, ich kolorystyka (najbardziej charakterystyczne są białobłękitne) oraz przedstawiane tematy: od prostych geometrycznych wzorów i motywów roślinnych, aż po zaawansowane kompozycje przedstawiające sceny religijne, mitologiczne czy krajobrazy. Na uwagę zasługuje zwłaszcza ogromna, ścienna panorama Lizbony, ukazująca stolicę sprzed trzęsienia ziemi w 1755 roku. W tym samym budynku znajduje się restauracja, kawiarnia i sklep, w którym można kupić ciastka, przypominające wyglądem dopiero co podziwiane *azulejos*.



Zwiedzanie muzeum ułatwia **aplikacja mobilna „MNAz – Museu do Azulejo”** (nagranie audio po portugalsku i angielsku oraz video w języku migowym), dostępna w sklepie Google Play w wersji na Androidy i iPhone. Wstęp wolny w pierwszą sobotę każdego miesiąca dla indywidualnych zwiedzających oraz grup do 12 osób.

Muzeum Fado (Museu do Fado) – Lizbona

www.museudofado.pt

W lizbońskich klubach i na ulicach często można usłyszeć tęskną pieśń śpiewaną przy akompaniamencie gitary, mówiącą o nieszczęśliwej miłości, rozstaniu i przeznaczeniu. To *fado*, charakterystyczny dla Portugalii gatunek muzyczny, będący wraz z *saudade* (po port.

tęsknota, nostalgia) ważnym elementem portugalskiej tożsamości. W 2011 r. roku UNESCO wpisało tę pieśń na Listę Niematerialnego Dziedzictwa Ludzkości. Lizbona, a dokładniej jej najstarsza dzielnica Alfama, uważana jest za kolebkę *fado*. Tam też znajduje się wiele klubów muzycznych (*casa do fado*) oraz *Museu do Fado*. Muzeum przybliży zwiedzającym historię tego gatunku muzycznego oraz jego najświetniejszych wykonawców, od powstania *fado* w XIX wieku aż po czasy współczesne. Można tu zobaczyć 12-strunową gitarę portugalską, której zawdzięczamy specyficzne brzmienie *fado*, nagrania video, stroje z występów czy obrazy inspirowane *fado*. Audioprzewodnik posiada bogatą kolekcję nagrań. Warto zwrócić uwagę na postać Amáliei Rodriques, niekwestionowanej „królowej *fado*”, uwielbianej nie tylko w Portugalii, ale i na świecie. Urodziła się w biednej dzielnicy Lizbony, a u szczytu swej sławy występowała w najważniejszych salach koncertowych. (Jej XVIII wieczna, lizbońska rezydencja na Rua de São Bento 193 jest udostępniona do zwiedzania.)

W budynku muzeum znajduje się kawiarnia oraz sklep z pamiątkami, gdzie można kupić płyty, książki, a nawet instrumenty muzyczne.

Muzeum zaprasza również na **wirtualną podróż** po Lizbonie i **miejscach związanych z *fado***: <http://roteiro.museudofado.pt/>.

Muzeum Morskie (Museu de Marinha) – Lizbona

<http://ccm.marinha.pt>

Portugalia może się poszczycić długą i obfitującą w ważne odkrycia geograficzne historią żeglugi dalekomorskiej. Zapoczątkował ją książę Henryk Żeglarz, któremu przypisuje się założenie szkoły nawigatorów w Sagres. Ukoronowaniem tej historii było wytyczenie przez Vasco da Gamę nowego szlaku handlowego do Indii w 1498 roku, poprzedzone odkryciem archipelagu Madery i Azorów oraz opłynięciem przez Bartolomeu Diasa zachodniego i południowego wybrzeża Afryki. Dodatkowo, w 1500 roku Pedro Álvares Cabral dokonał odkrycia Brazylii. W rezultacie Portugalczycy zyskali dostęp do cenionych w Europie towarów, takich jak kość słoniowa, dalekowschodnie przyprawy, jedwab, porcelana oraz egzotyczne warzywa i rośliny z „Nowego Świata”. Dzięki temu Portugalia stała się jednym z najbogatszych krajów w ówczesnych czasach. Do listy tych sukcesów trzeba jeszcze dodać pierwszą wyprawę morską dookoła Ziemi, dowodzoną przez Portugalczyka Ferdynanda Magellana (Fernão de Magalhães), tym razem na rzecz Hiszpanii.

Museu de Marinha w Lizbonie, założone jeszcze w 1863 r. dekretem króla Luisa I, wielkiego miłośnika marynarki, prezentuje historię portugalskiej żeglugi. Wystawiono tu dawne instrumenty nawigacyjne (m.in. astrolabia, sekstanty), stare mapy i globusy, modele



statków zarówno w wersji miniaturowej (m.in. statki handlowe, współczesne okręty wojskowe), jak i w skali 1:1 (galeoty). Można tu też zobaczyć mundury marynarskie i przedmioty codziennego użytku, oraz wnętrze kajuty królewskiej z jachtu „Amelia”. Dzieci do 12 lat zwiedzają muzeum bezpłatnie.

Video prezentujące muzeum: www.youtube.com/watch?v=PRE_6SsP9UU.

Warto zaznaczyć, że *Museu de Marinha* znajduje się w skrzydle słynnego **klasztoru Hieronimitów (*Mosteiro Dos Jeronimos*)**, który jest wotum dziękczynnym za udany powrót ekspedycji morskiej Vasco da Gamy do Indii. Jego grób znajduje się w tutejszym kościele. Co ważne, klasztor jest doskonałym przykładem bogato zdobionego stylu manuelińskiego, w którym pojawiają się ornamenty w formie lin żeglarskich.

World of Discoveries – Interaktywne Muzeum i Park Tematyczny – Porto

www.worldofdiscoveries.com

W interaktywnym World of Discoveries można wcielić się w rolę sławnych żeglarzy, odkrywając coraz to nowe lądy i kultury. Na początku przygotowano krótką, multimedialną lekcję dot. statków, sprzętu nawigacyjnego i poszczególnych odkrywców. Są tu m.in. miniatury portugalskich karaweli, globus 4D oraz wizualizacje wypraw. Następnie zwiedzający wsiadają do łódki i płyną do miejsc, które odkryli wielcy, portugalscy żeglarze, poznając w ten sposób nieznaną wodę, Afrykę, Indie czy Japonię. Do dyspozycji gości jest także restauracja, oferująca kulinarną podróż przez widziane wcześniej kraje, oraz sklep z pamiątkami. Muzeum można zwiedzać samodzielnie lub z przewodnikiem (ok. 1 godziny). Informacje dostępne są w kilku językach, w tym po angielsku, niemiecku i francusku. Dzieci do 3 lat wchodzi za darmo.

Video prezentujące muzeum można zobaczyć tutaj: <https://vimeo.com/104932292>.

Muzeum Wina Porto (Museu do Vinho do Porto) – Porto

www.visitporto.travel/visitar/paginas/viagem/DetalhesPOI.aspx?POI=785

Miłośnicy znanego na całym świecie wina porto powinni odwiedzić *Museu do Vinho do Porto*, zlokalizowane w XVIII wiecznym budynku dawnego składu wina. To tutaj przechowywano wino przywiezione z Doliny Douro przez Companhia Geral da Agricultura e Vinhas do Alto Douro. Muzeum wyjaśnia, jak produkcja i handel winem wpłynęły na rozwój portu i miasta Porto. Można tu zobaczyć m.in. stare butelki i etykiety oraz miniatury tradycyjnych, płaskich łodzi *barco rabelo*. To nimi przewożono beczki z winem z doliny Douro do piwnic znajdujących się na nadbrzeżu Porto.

Museu CR7 – Funchal na Maderze

www.museucr7.com

W Portugalii piłka nożna jest równie ważnym sportem jak w Polsce. Najślynniejszy portugalski piłkarz, Cristiano Ronaldo, doczekał się nawet muzeum poświęconego jego karierze. Muzeum znajduje się w jego rodzinnym mieście w Funchal na wyspie Madera i posiada takie eksponaty jak Złota Piłka FIFA z 2008, 2013 i 2014 r., Europejskie Złote Buty, klubowe trofea oraz listy od fanów, także z Polski. Można obejrzyć najważniejsze momenty w karierze CR7 (w tym najlepsze gole), zrobić sobie zdjęcie z jego figurą woskową lub wejść w multimedialną interakcję, grając z nim w piłkę na wirtualnej murawie. Fotografia z takiej zabawy jest dodatkowo płatna.

Centrum Informacji o Wulkanie Capelinhos (Centro de Interpretação do Vulcão dos Capelinhos) – wyspa Faial na Azorach

<http://mi.visitazores.com/en/venues/capelinhos-volcano-interpretation-centre>

Należące do Portugalii archipelagi Madery i Azorów to wyspy wulkaniczne, które swoje istnienie oraz niezwykle bujną roślinność zawdzięczają wybuchom podwodnych wulkanów. Na jednej z azorskich wysp, Faial, znajduje się Centrum Informacji o Wulkanie Capelinhos, które wyjaśnia jego geologiczny fenomen oraz sposób powstania wyspy Faial. Muzeum wybudowano na terenie dotkniętym erupcją wulkanu Capelinhos, przypominającym krajobraz księżycowy, co nadaje temu miejscu wyjątkową atmosferę. Dodatkowo, centrum znajduje się pod ziemią, tuż obok latarni morskiej, która przetrwała ten wybuch, pełniąc obecnie rolę punktu widokowego. Oprócz wystawy, w muzeum znajduje się również audytorium, kawiarnia oraz sklep. Zwiedzanie z przewodnikiem trwa ok. 60 minut.

Muzeum Wieloryba (Museu da Baleia) – Caniçal na wyspie Madera

www.museudabaleia.org

Położone daleko na Oceanie Atlantyckim, wyspy Azorów i Madery stanowią doskonałe miejsce do obserwacji zwierząt morskich. Organizowane są tam specjalne rejsy, umożliwiające zobaczenie z bliska delfinów i wielorybów. W rybackim mieście Caniçal na Maderze warto zajrzeć do niewielkiego *Museu da Baleia*, które prezentuje etnograficzną wystawę na temat wielorybnictwa w tym regionie (zakazanego w 1982 roku), jak również przybliży świat waleni. Można tu obejrzyć naturalnej wielkości modele delfinów i wielorybów, filmy w 3D oraz wejść do batyskafu. Muzeum prowadzi również projekty naukowe badające życie tych zwierząt.

Muzeum zaprasza również na **wirtualne zwiedzanie:**
www.visitasvirtuais.com/tours/MuseuBaleia/.

Muzeum Toyoty w USA

Słynne muzea takie jak Luwr, Rijksmuseum czy Prado, to żelazny punkt zwiedzania najbardziej atrakcyjnych metropolii. Oglądanie cennych kolekcji pod dachem szacownych instytucji nie jest jednak rozrywką tylko dla miłośników sztuki, ale także dla fanów czterech kółek. Na całym świecie rozsiane są muzea poświęcone motoryzacji. Toyota, największy producent samochodów, ma dwa takie obiekty. Bardziej znany mieści się w Tokio, natomiast w Kalifornii znajduje się nie mniej ciekawe muzeum, w którym zebrano eksponaty prezentujące kilkadziesiąt lat obecności japońskiej marki na amerykańskim rynku.



Toyota USA Automobile Museum mieści się w Torrance w Kalifornii. Zebrano w nim bogatą kolekcję pojazdów i pamiątek, które odzwierciedlają wpływ Toyoty na Amerykę Północną od debiutu pierwszego modelu marki na tym kontynencie w 1957 roku po współczesność. Historię Toyoty w Ameryce ilustruje ponad 100 samochodów seryjnych oraz kilkanaście aut rajdowych i wyścigowych.

Klasyki szos

Tuż przy wejściu do głównej sali wystawowej stoi Toyopet Crown z 1958 roku, jeden z zaledwie 287 egzemplarzy dostarczonych do Ameryki w pierwszym roku sprzedaży. Toyota Crown z 1971 roku reprezentuje ostatni rocznik tego modelu sprzedawany w USA, którego roczna sprzedaż wyniosła 3 934 aut. Crown, prestiżowy samochód bardzo ceniony w Japonii, nigdy nie podbił serc Amerykanów, w przeciwieństwie do Corolli – niezwykle popularnej zarówno 40 lat temu, jak i dzisiaj. Dla porównania, stojąca w pobliżu Celica ST to jeden z 17 571 egzemplarzy sprzedanych w 1971 roku – był to do tamtego momentu najbardziej udany debiut nowego modelu Toyoty w Stanach. Można postawić tezę, że Celica spopularyzowała wyścigi modyfikowanymi sportowymi autami kompaktowymi w USA.

Jednym z kamieni milowych w historii Toyoty w Ameryce Północnej była premiera pick-upa Stout w 1964 roku. W ciągu 2 lat Amerykanie kupili 4000 egzemplarzy. Model ten jest reprezentowany w muzeum przez czerwonego Stouta z 1967 roku.

Jednym z pierwszych samochodów osobowych Toyoty, które zadebiutowały w Ameryce, była Toyota Corona z 1965 roku. Auto z silnikiem o pojemności 1,9 l miało dwukrotnie większą moc od wielu popularnych konkurentów. W 1966 roku kupiono w Ameryce 14 764 egzemplarzy, co było wówczas dużym sukcesem.

Na wystawie najstarszych samochodów można znaleźć auto, które na pierwszy rzut oka wygląda jak Model AA z 1936 roku, polakierowany w kolorach czerni i śliwki. Jednak po bliższym zbadaniu okazuje się, że jest to specjalny projekt firmy Toyota Technocraft, zbudowany na bazie współczesnego Hiluxa. Trzeba przyznać, że w ogóle go nie przypomina.

Początki amerykańskich fabryk Toyoty

W Muzeum w Torrance można zobaczyć trzy samochody, które jako pierwsze zjechały z taśm produkcyjnych w kolejnych fabrykach Toyoty w Ameryce Północnej. W fabryce New United Motor Manufacturing Inc. w Kalifornii jako pierwsza powstała w 1987 roku Corolla FX16. Dwa lata później w nowo otwartej fabryce Toyota Motor Manufacturing Kentucky wyprodukowano pierwszą w tym zakładzie Camry LE. Jeszcze w tym samym 1989 roku taśmę produkcyjną w Kentucky opuściło ponad ćwierć miliona Camry.

Zakład Toyota Motor Manufacturing Canada został otwarty w 1990 roku. Pierwszym zmontowanym w nim samochodem był sedan Corolla LE. Kanadyjska fabryka w znacznym stopniu przyczyniła się do zwiększenia globalnej sprzedaży Corolli. W czerwcu 1990 roku najpopularniejszy model wszech czasów odnotował 15 milionów sprzedanych aut. Dziś jest to prawie 45 milionów.

Klasyki osiągów

W Muzeum Toyoty w Kalifornii można znaleźć także pamiątki po sukcesach sportowych. Na początek dość zaskakujący pojazd w tej kolekcji – Prius drugiej generacji. W sierpniu 2004 roku Prius odnotował prędkość 210,36 km/h na torze Bonneville Salt Flats, dzięki czemu powstała nowa klasa aut hybrydowych w słynnych zawodach National Speed Week.

Ponad dekadę wcześniej, w 1992 roku na tym samym torze Toyota MR2 z 1991 roku rozpędziła się do 382,94 km/h. Sportowe szaleństwo kontynuował Rod Millen, który w 2000 roku ekstremalnie przebudował Celicę siódmej generacji. Jego Ultimate Celica to auto z napędem na 4 koła dostarczające 500 KM mocy. Być może najciekawsza w tej kolekcji jest

IMSA GTU-class Celica opracowana przez TRD, która w 1985 roku wygrała 4 wyścigi w International Motor Sports Association (IMSA) GT Championship. O uwagę odwiedzających konkuruje z nią jednak Toyota IMSA GTP Eagle MkIII, mająca na koncie 21 zwycięstw w 27 wyścigach, w których brał udział.

Poważna kolekcja samochodów Toyoty nie może się obejść bez sportowego coupe 2000GT. Muzeum w Kalifornii ma 3 egzemplarze, z których Golden Car jest najciekawszy. Toyota wyprodukowała tylko dwa takie auta pokryte złotym lakierem, a samochód wystawiony w Torrance ozdobił stoisko Toyoty na 14. targach Tokyo Motor Show w 1967 roku. Modelką zatrudnioną do podkreślania uroku tego auta była słynna Twiggy. Japoński supersamochód tak jej się spodobał, że zaraz po premierze kupiła sobie własny egzemplarz.

2000GT to jeden z żelaznych punktów aukcji kolekcjonerskich. Drugim jest Land Cruiser FJ40. Klasyczna terenówka wystawiona w Toyota USA Automobile Museum pochodzi z 1979 roku i ma na liczniku tylko 3 tys. mil przebiegu. To prawdopodobnie najmniej używany i najbardziej oryginalnie zachowany FJ40 na świecie. Samochód jest wyposażony w luksusowe w tamtych czasach wspomaganie układu kierowniczego i wspomaganie hamulców.

Klasyczne Toyoty w Polsce

W naszym kraju także jest wiele okazji, żeby obejrzyć klasyczne auta japońskiej marki. Co roku odbywają się festiwale motoryzacji retro, takie jak Auto Nostalgia w Warszawie czy Motoclassic Wrocław. Wiekowe sportowe samochody można zobaczyć w akcji na wyścigach serii Motointegrator Classicauto Cup. Od 2016 roku w jej ramach organizowany jest Toyota Cup, w którym uczestniczy około 20 Toyot. Wśród nich startuje kilka egzemplarzy Celiki GT 6. generacji, należących do Toyota Team Classic, oficjalnego zespołu marki. W sezonie 2017 we flocie TTC pojawi się nowy nabytek – Celica GT Four z silnikiem R4 2.0 turbo o mocy 252 KM. Fani terenowych Toyot nie mogą przegapić Off-Road Show Poland w Warszawie, gdzie obok aktualnych modeli i specjalnie przygotowanych wyprawówek oraz pojazdów rajdowych demonstrowane są klasyki gatunku.

Muzea motoryzacji w Europie

Toyota nie otworzyła jeszcze swojego muzeum w Europie, jednak fani motoryzacji nie mogą narzekać na brak instytucji tego typu innych marek. W Stuttgarcie na gości czekają muzeum Porsche i Mercedesa, w Monachium swoją historią chwali się BMW. W Gothenburgu w Szwecji znajduje się muzeum Volvo, zaś we Włoszech muzea Ferrari, Lamborghini i Alfa Romeo. Peugeot prezentuje swoją historię w Sochaux, Citroen w Aulnay-sous-Bois, natomiast Renault w Plessis-Robinson na północy Francji. Najbliżej Polski, w Młada Boleslav w Czechach znajduje się Muzeum Skody. Zaskoczeniem może być siedziba muzeum brytyjskiej marki Rolls-Royce, która nie mieści się wcale w Derby w Wielkiej Brytanii, lecz w Dornbirn w Austrii, nad Jeziorem Bodeńskim.

KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001